

BLUSZCZ

*społeczno-literacki ilustrowany
tygodnik kobiecy*



W a r s z a w a,
S o l e c 87.

"BLUSZCZ"

społeczno-literacki
ilustrowany tygodnik kobiecy

Ś-to Krzyska 17, m. 3, tel. 6-76-72.

W a r s z a w a,

Ś-to Krzyska 17 m. 3.

telefon 2-44-18.

telefon 6-76-72.

Redaktorka naczelna *STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW*.
Dział robót pod kierownictwem *JADWIGI KORZENIOWSKIEJ*
Dodatek „Wychowanie i szkoła” pod kierownictwem *WANDY BORUDZKIEJ*
Redakcja i Administracja: Warszawa — Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-03.

KLISZE WYKONUJĄ WŁASNE ZAKŁADY FOTO-CHEMIGRAFICZNE.

Treść numeru:

Kobiece dole — *N. J. Tyrol* i jego syn — *Helena Boguszewska*. Jedenasty listopada — *Herminja Naglerowa*. Dusza kobiety w korpusie dyplomatycznym — *Stefanja Podhorska - Okolów*. Poezje: Nie z nienawiści — *Elżbieta Szemplińska*. Kobieta poleska — *Z. Załeska*. Wieczór autorek polskich w Ipsie — *S. P. O.* Poezje: Chodź się ze mną bawić — *Stanisława Sznaper*. Z teatrów — *S. P. O.* Z ubiegłego tygodnia — *H. N.* Wychowanie fizyczne i sport: Przy kierownicy — *Irena Pamska*. Przegląd prasy. Kobieta w świecie i w domu. Ogrodnictwo i hodowla: Nasze jaja — *Lepkowska*. O jesiennem nawożeniu ogródka, Inspekta przed zimą, Rzeżucha ogrodowa, *Bluszcz* — *Marja Dąbrowa*. Dom i gospodarstwo: Jeszcze o mięsie — *Wanda Dobrzańska*. Przepisy gospodar-
skie — *Melba*.

WARUNKI PRENUMERATY:

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie—4.50 zł., kwartalnie—13.50 zł., rocznie—54 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 5.20 zł. Zmiana adresu — 50 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17 m. 3.

Konto P. K. O. WARSZAWA Nr. 3700.

W y d a w a : Tow. Wydawnicze „Bluszcz”, Sp. z ogr. odp

Pracownicy umysłowi korzystają z 20% ustępstwa.

WARUNKI OGŁOSZENIOWE:

		zł.			zł.			zł.
1/1 str. tekstu	—	700.—	Okladka III-cia	1/1 str. okł.	—500.—	Okladka IV-ta		
1/2 „ „	—	400.—		1/2 „ „	—250.—			
1/4 „ „	—	200.—		1/4 „ „	—150.—			
1/8 „ „	—	100.—		1/8 „ „	—80.—			
1/16 „ „	—	50.—		1/16 „ „	—50.—		1/1 str. okł.	—600.—
1/32 „ „	—	30.—		1/32 „ „	—30.—			

Przy ogłoszeniach seryjnych prosimy o żądanie ofert.

Ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń w kraju i zagranicą, oraz biuro Tow. Wyd. „Bluszcz” — Warszawa, Solec 87, tel. 6-26-44, 2-44-18 i 5-87-03. Cena artykułów reklamowych w tekście wedle specjalnej umowy.

Tygodnik „BLUSZCZ” ze względu na swoje liczne i szerokie sfery czytelniczek, jest doskonałym organem reklamowym dla wielu artykułów z dziedziny zainteresowań kulturalnej kobiety.

Czytelniczki „BLUSZCZU” powinny nabywać tylko te towary, które zaleca im ich ulubione czasopismo.

Bliscy

SPOŁECZNO-LITERACKI
ILUSTROWANY
TYGODNIK KOBIECY

Kobiece dole

Zdawałoby się, że dola ta nie jest już dziś gorsza od przeciętnej doli ludzkiej wogóle.

Różne, a właściwie nawet wszystkie prawa publiczne i prywatne zdobyte, ściany gineceum otwarte, cały, szeroki świat również. Jeżeli coś tam jeszcze zostało z dawnych upośledzeń, to w każdym razie są liczne środki do zwalczenia ostatnich nierówności i ograniczeń.

Cóż, kiedy, jak się okazuje, łatwiej jest zmienić prawa, przekształcić opinię, zreformować obyczaje, niż poprawić własną naturę.

Cały szereg wstrząsających faktów, zaszłych w okresie ostatnich tygodni, wskazuje na to, że kobieta umiała wyzwolić się ze wszystkich niesprawiedliwości, ale zachowała dawne nastawienie psychiczne i brnie w dalszym ciągu z wolnej i nieprzymuszonej woli.

Jakże bowiem inaczej określić można te wypadki, które zresztą dziwnym trafem zebrały się w wyjątkowy splot tragedii, zaszłych w krótkim czasie, a które zdarzają się jak rok długi, niemal oodziennie, w pojedynczym wydaniu.

Czytamy przecież stale w kronice wypadków: ta i ta, lat tyle i tyle, służąca, krawcowa, ekspedjentka wypila jodyny, ługu lub esencji octowej, wyskoczyła z czwartego piętra, rzuciła się do Wisły, powodem zawód miłosny.

Czytamy, współczujemy i przechodzimy nad tem do porządku dziennego, niewiele się zastanawiając.

A przecież są to fakty, nietylko smutne, ale poprostu oburzające. Jakże, więc taka jest psychika nowoczesnej, wolnej obywatelki, nieograniczonej w prawach, mającej dostęp do całej wiedzy i wszelkiej pracy, mającej stworzyć sobie własne, pełne życie?

Te kobiety dziś nie mają nic ważniejszego w życiu, prócz miłości i wrażeń, gdy w tem spotka je zawód, szukają śmierci?

Mężczyźni też robią to samo, powie ktoś.

— Nie, nie robią tego samego, ani w takiej postaci, ani w podobnej liczbie. Rzecz prosta, że zdarzają się i u mężczyzn samobójstwa z zawiedzionej miłości, ale są one wyjątkami, podczas gdy u kobiet są formalną, masową epidemią.

Ale jakby niedosyć było pojedynczych, zaczynają się teraz samobójstwa zbiorowe.

Trzy dziewczyny, najstarsza 25 lat, najmłodsza 16-letnia, zatruty się gazem świetlnym, obmyśliwszy spokojnie i dokładnie całą akcję. Zamknęły się razem w kuchni, odkręciły aż cztery krany gazowe, uszczelniły drzwi i okna, przyczem dwie starsze wzięły najmłodszą między siebie, trzymając ją za ręce, jakby dla dodania odwagi w tej okropnej chwili, a zarazem zabezpieczenia się przed ewentualnym odruchem rozsądku i obrony.

Przyczyny tej makabrycznej decyzji? Żadna z samobójczyń nie zostawiła listu, wyjaśnienia, choć dwie miały żyjących rodziców. Z wiadomości, doszłych ubocznymi drogami, wylania się jednak wniossek, że na dnie rozpaczliwej decyzji, leżała u wszystkich zawiedziona miłość. Jedna z nich, ta, która, jak się zdaje, pociągnęła za sobą towarzyszkę, objawiała jeszcze głośno „zasadniczą“ niechęć do życia: niema co robić na świecie!

Bieda, ciężkie warunki? Nie, dwie dziewczyny miały pracę, trzecia była u rodziców, wszystkie miały na sobie, w chwili śmierci, dostatnie, eleganckie nawet ubranie.

W pełni młodości, sił, zdrowia, z całym życiem przed sobą! Toż to formalna psychoza, upadek człowieka, który w takich warunkach, w chwili największego rozwoju, nie ma elementarnego zasobu sił, do pokonania przejściowego cierpienia.

Straszne, ale w tej okropności jest jeszcze jakiś ułamek logiki: odchodzę, bo nie chcę żyć. Bywa nie-

kiedy i czynnik zemsty, ożywionej, złudną zresztą, nadzieją dokuczenia niewiernemu, jest zawsze moment wielkiego bólu, usprawiedliwiającego, choć do pewnego stopnia, upadek sił życiowych. Ale co pomyśleć można o kobiecie, która nie miała na swoją obronę tamtych czynników, która nie kochała męża, gdyż odeszła od niego i która pomimo tego pozwalała temuż mężowi teroryzować się, zmuszać do nierządu i oddawała mu uzyskane z tego procederu pieniądze?

Janina Grzeszczakowa, to najdziwaczniejsza chyba ofiara męskiej przewagi fizycznej. Można zrozumieć położenie kobiety, nie mogącej wyzwolić się ze szponów handlarzy żywym towarem, zachodził tam moment przemocy, tolerowanej, niestety. Można usprawiedliwić kobietę, znoszącą ciężkie życie z mężem, którego nie chce opuścić, ale na psychikę osoby, która człowiekowi niekochanemu, porzuconemu, oddaje całymi latami setki i tysiące złotych i nie potrafi, mając za sobą notabene obronę prawa, pozbyć się takiej przemocy, na to już brak rozumiałej odpowiedzi.

Tak się na pierwszy rzut oka wydaje, ale zastanowiwszy się głębiej, znajdziemy przyczynę, jest ich nawet więcej, niż jedna.

Pierwsza i chyba najważniejsza, to brak wszelkiego krytycyzmu w stosunku do mężczyzny. Brak ten zaznacza się właśnie najostrzej u młodych zwłaszcza kobiet i dziewcząt ze sfery pół i ćwierćinteligencji. Mężczyzna, to znaczy siła i większy rozum, i opieka, i racja i „za bylejakim płotem, za bylejakim chłopem“. Posiadanie takiego „skarbu“, to dumy, i sytuacja wśród koleżanek, i źródło, jedyne często różnych przyjemności życiowych, opłacanych z własnej nawet kieszeni, ale opromienionych „jego“ towarzysztwem. Gdzieżby kino, czy spacer, czy zabawa bez swego kawalera! Istotnie, ale to nie racja, aby truć się, lub wieszać, bo gdy jeden odejdzie, można znaleźć drugiego.

O nie, gdyż tu staje na przeszkodzie właściwość, wrodzona psychice kobiecej: wierność i przywiązanie. To przywiązanie raz wytworzone, jest u kobiety, w przeciwieństwie do mężczyzny, stałe.

To przywiązanie, połączone z jakimś niewolniczym przekonaniem, że mężczyzna jest zawsze lepszy, mądrzejszy, silniejszy, że będzie zawsze miał rację, zawsze, w każdej sytuacji zwycięży kobietę, wytwarza, w razie zawodu miłosnego, niechęć do życia i pragnienie szukania ucieczki w śmierci, a w innych wypadkach bierne poddanie się wyzyskowi ze strony tego silnego władcy.

Czy niema wcale podobnego nastawienia wśród kobiet z inteligencji?

Bez wątpienia jest, nieraz nawet dosyć jeszcze silne, ale naogół już poważnie zniwelowane wpływem wykształcenia, szerszego pojęcia o życiu, skalą zainteresowania, silniejszym pionem moralnym, oparciem o rodzinę i różnorodne autorytety.

Całe, ogromne rzesze młodych kobiet, ubogich robotnic, a zwłaszcza służących, tego właśnie oparcia nie mają.

Rodzice, jeśli są, to najczęściej w ciężkich warunkach, zapracowani i niezdolni zupełnie do pokie-

rowania dziewczyną, często już mającą inne pretensje i wymagania, koleżanki, takie same, zainteresowań szerszych i głębszych żadnych. Demokryzacja i wierzchni nalot kultury dały tej sferze możliwość noszenia takich samych ubrań, pójścia do tego samego kina, ale nie dały tych samych pojęć i wiadomości.

A człowiek musi przecież mieć coś, prócz jedzenia, pracy i ubrania. Jeżeli w dodatku pracuje, jak przeważająca większość np. dziewcząt służących bez zamięłowania, bez żadnej wskutek tego nadziei przyszłości, jakiegoś rozwoju bytu i poprawy, tylko z ciężkiej konieczności i byle zbyć, to trudno się dziwić, że jedyną okrasą, jedynym celem takiego życia jest mężczyzna. Trzeba więc koniecznie, dla racjonalnej, zdrowej przyszłości szerszych mas społecznych, zareagować przeciwko temu opuszczeniu wielkiej rzeszy dziewcząt, zostawionych swej własnej doli i przeciwko absolutnemu brakowi głębszych zainteresowań życiowych.

Stowarzyszenia kobiece inteligentkie mają przeważnie inne założenia pracy i jeśli zajmują się dziewczętami z różnych klas ludności, to czynią to ubocznie i w bardzo niewielkim zakresie. Najbardziej opuszczone są służące. Ich związek zawodowy nie był szczęśliwie pomyślany, do innych nie należą. Tow. Ochrony Kobiet robi wiele, ale zajmuje się przeważnie walką z handlem żywym towarem. Zresztą chodziłoby tu nie tyle o dawanie pracy, ile o danie kultury i racjonalnego poglądu na życie, o wytworzenie zamięłowania do pracy, dążenia do kulturalnego celu, o nauczanie jak żyć, o wyplenienie rozpaczliwej nieraz głupoty, naiwności i braku wszelkiego pojęcia o właściwym celu istnienia.

Bardzo dużo mogłyby tu zrobić panie, ale jest to dziedzina możliwości teoretycznie ogromnej, praktycznie niewiele wartiej. Związek Pań Domu ma również odrębne cele. Powołać by do tego trzeba organizację specjalną, zakrojoną na szeroką skalę, opartą o pomoc miarodajnych władz, np. o ministerstwo pracy i opieki społecznej. Założyć poradnie, do których dziewczęta mogłyby zwracać się o radę i pomoc w trudnych chwilach, zorganizować kursy wychowawcze, nauczające nie tylko fachowej pracy, ale uświadamiające o prawach i obowiązkach życia, stworzyć świetlice i przystępne rozrywki, otwierające okno na świat szerszy, stwarzające inne zainteresowania, niż obręb jednej kamienicy, albo pójście do kina, powołać higienistki, takie, jakie z ramienia Instytutu Higieny Społecznej pracują na mieście, odwiedzając mieszkania, lub jak członkinie Tow. Opieki nad Niemowlętami odwiedzają matki, ale higienistki moralno-wychowawcze, które mogłyby trafić do umysłowości dziewcząt, zdobyć sobie ich zaufanie i pokierować niemi.

Wielka i trudna akcja? Zapewne. Niemniej jednak konieczna, gdyż teraz marnują się tysiące młodych sił, bez pomocy i opieki. Szkoda tych, które umierają lub wpadają w sidła nierządu. A niewiele lepiej jest z temi, które pozostaną, stworzą kiedyś rodzinę i będą matkami przyszłych pokoleń.

Na to trzeba zaradzić za wszelką cenę. N. J.

Tyrol i jego syn ¹⁾

(Rozdział z powieści „Za zielonym wałem“).

— Wiedziałam, że tak będzie — mówi matka. — Czy wszyscy myśleli, że pogoda będzie wiecznie, czy co?

Nikt nic nie odpowiedział. Wszyscy wiedzieli, że tak będzie i nikt nie myślał, że pogoda będzie wiecznie. Tylko że nikt tem się nie martwił na zapas. A zato teraz martwili się wszyscy. Coraz to ktoś wysuwał głowę z budy, żeby popatrzeć na niebo.

— Wyjaśnia się — mówił.

Bo niebo było wysokie i nawet dosyć jasne, takie białawe. Tylko że całe jednostajne.

— Nic się nie wyjaśnia, zaciągnęło się na długo — ponuro odpowiada matka. — Szkoda nawet gadać — i dalej zatyka pakułami szpary w przeciekającym nad budą dachu.

Deszcz średnio gęsty i równy pada cicho i ukośnie, przesłaniając błonie i wał z jednej strony, i te różne pozaczynane na błoni budowy, i daleki cegielniany komin, z drugiej, i nawet ten nowy domek i budkę na działce Sikorów. Ojciec przygnębiony siedzi na progu.

— Dużo tam pomogą te pakuły na mokro — mówi do matki.

— A sam mówileś, że póki nie ma deszczu, to nie można wiedzieć gdzie przecieka — matka cierpliwie zapycha nożem w szpary, a dach dalej przecieka.

Ojciec wzrusza ramionami. Odkąd deszcz przerwał budowę, zmęczony jest bezczynnością więcej, niż przedtem pracą.

Krystyna kaszle, aż się zanosi. Jak nie kaszle, to gada do Pilnuja. Pilnuj słucha obojętnie, wygrzyza pchły z ogona i pachnie mokrym psem. Jak zacznie machać ogonem, to koniecznie musi zawadzić o coś czy o kogoś, coś przewrócić, coś wylać... Jak się rozłoży na jedynym wolniejszym kawałeczku desek, to zaraz ktoś musi mu nastąpić na ogon czy na łapę, bo poprostu nie ma się gdzie poruszyć. Wtedy Pilnuj zaczyna po swojemu wrzeszczeć, Krystyna piszczy i kończy się na tem, że matka wyrzuca Pilnuja z budy, żeby przecież miejsca nie zajmował, pcheł nie puszczał. Ale wtedy Krystyna zaczyna popłakiwać i z tego zmartwienia więcej kaszle, więc matka znowu woła Pilnuja spowrotem, żeby się bawił z Krystyną, i znowu wszyscy depczą sobie po piętach, a Pilnujowi po ogonie, i znowu to samo, i tak wkoło.

A deszcz pada. Wujek mówi, że woli na deszczu, niż w takiej ciasnocie, i idzie na budowę, niby to coś robić. Ale teraz wraca, bo leje teraz tak, że nie robić nie można. Matka wylewa żółtą wodę z misek i statków, popodstawianych pod przeciekający, mimo wszystko, dach. Powiada, że jeszcze na Lesznie wiedziała, że tak będzie, i dlatego tak się bała o Krystynę na tej budowie. Usadza ją w jakimś niby to najlepszym miejscu, i wraca do piecyka, który dymi, bo wiatr wciska spowrotem dym w zardzewiałą rurę, wystawioną nazewnątrz. Kartofle nie chcą się go-

TYDZIEŃ

TANICH JEDWABI

Oto nasze okazje:

MAROCAIN. jedwab. des. (dawn. 7.80) **4²⁰**

FILMAT rayè jedw. w pasy lub kraty (8.—) **3⁰⁰**

CRÈPE RIVA jedw. gładki (dawn. 10.—) **4⁵⁰**

TOILE de soie deseniowy dawniej (6.80) **3⁸⁰**

OTOMAN jedw. desen. (dawniej 12.—) **4⁴⁰**

MAROCAIN jedw. gładki (dawn. 14.—) **6⁹⁰**

WEŁNA na suknie 130 cm. szer. (dawn. 7.—) **4⁹⁰**

pozatem na wszystkich jedwabach 10% ustępstwa

NA I-EM PIĘTRZE
WYSTAWA FIRANEK

bracia

JABLONKOWSCY



tować... Deszcz bębni po przeciekającym dachu głośno, a po trawie ledwie — ledwie szemrze równo i cicho.

Stasi spoczątku zdaje się, że to zaraz przejdzie, że przecież długo nie może tak być, poprostu dlatego, że długo nikiby nie wytrzymał. Wybiega co chwila przed budę i wraca mokra, wesoła:

— Przejaśnia się — mówi do matki.

— A dajże mi spokój z tem ciąglem przejaśnianiem się — matka poraz niewiedomo już który wylewa żółtą deszczówkę z misek... — już czego, jak czego, ale deszczówki mamy dosyć... — i znowu cierpliwie dmucha w piecyk.

Ojciec z wujkiem gadali głośno na budowie i słysząc głosy ich wsiąkające w deszcz, jak w pierzynę. Wrócili obaj zmoknięci, zaczęli majstrować coś przy narzędziach, i naraz zrobił się w budzie taki tłok, że już zupełnie nie można się było ruszać.

— Jak w tramwaju — pomyślała Stasia i po raz niewiedomo który wyszła popatrzeć, czy się nie przejaśnia.

Postała, popatrzała. Przejaśniało się, i z przejaśnionego nieba lało lepiej, niż kiedykolwiek. Wtedy zrozumiała, że to naprawdę jest na długo. Nadśluchuje. Coś się dzieje w budce. Ojciec się o coś gniewa. Krystyna piszczy, ojciec huknął na nią i znowu było cicho. Potem wujek spiera się z ojcem o jakąś

kielnię. Matka wyjrzała, w milczeniu wylała żółtą wodę z miski. Stasię ogarnęła rozpacz. I właśnie w tej chwili zjawiała się Irena, jakby z deszczu wyrosła. W czymś grubym kaftanie i boso..

Jak się ma przyjaciółkę, to się ją kocha i w deszcz, i w pogodę. Bo przecież Irena naprawdę przyszła, jak zbawienie. Kiwnęła na Stasię:

— Chodźmy gdzie... do naszej sodówki teraz kulaney pies nie zajrzy, nie mam co robić... lepiej moknąć, jak tak siedzieć.

— Pewnie, że lepiej.

Stasia łapie z budy starą chustkę, i już leca. Po mokrej trawie, zaczerwienionymi od ciągłego moknięcia stopami. Po gęstem błocie, występującym przyjemnymi bańkami w szparach pomiędzy palcami. Po mokrym piasku, pięknie odciskającym ślady tych palców, tych stóp... Mijają krowy pasące się obojętnie, jakby wcale nie było deszczu.

— Tym, to bez różnicy — mówi Irena.

Mijają przykucniętych pastuchów, chroniących się pod drzewami, pod okopami nielicznych domków, osłoniętych workami, płachtami, cierpliwych i milczących. Deszcz to zacicha, to się wzmacnia. Dochodzi do nasilenia ulewy.

— Boże, Boże — szepce Stasia.

Irena zwraca ku niej swoją małą twarz, mokrą i zagniewaną:

— Jaka ty dziwna — powiada — jakaś ty dziwna, ja jeszcze nie widziałam takiej: jak było słońce i pogoda, to ty warjowałeś, że pogoda. A jak jest deszcz, to ty znowu warjujesz, że deszcz.

Stasia przyznaje jej rację: tak, to prawda, ona już jest taka. Deszcz szumi, szumi, potem zacicha.

— Dokąd idziemy? — pyta Stasia.

— Zobaczysz — mówi Irena, i Stasi robi się weselej. Już jak „zobaczysz“, to dobrze. Irena zawsze coś dobrego myśli.

Ściana wału jest już blisko, za szosą, ale przesłonięta deszczem, jak mgłą. Na tle tej ściany mokną w deszczu małe domki. Niewiele ich jest. Do jednego, niczem nie różniącego się od innych, ludzie rzadko wchodzi i wychodzi. Sklepik. Za mokrą szybą jakieś towary. Nad drzwiami szyld. Nawet nie sklepik, tylko „kawiarnia“. Prosto napisano „kawiarnia“, choć nie przypomina niczem kawiarni ze śródmieścia. Ale Stasia, odkąd nie mieszka na Lesznie, nie dziwi się już niczemu.

— No i co? — pyta Ireny.

Irena przystaje pod oknem, nie tam, gdzie są towary, tylko pod drugim, dalej od drzwi.

— Dobra — szepce mokra, ale rozjaśniona.

Stasia nic nie rozumie. Dlaczego „dobra“? Widzi jakichś dwóch i pannę, jak piją przy stoliku pod oknem piwo.

Jakiś czas mokną tak pod oknem. Tamci wstają, znowu siadają. Jeden idzie w głąb pokoju, tamci patrzą za nim. Irena, jakby na to tylko czekała, wciąga Stasię do sklepu. Jakby na to czekała. Stasia jest przerażona.

— Dzień dobry pani — grzecznie mówi Irena. — Czy są tutaj „morwitan“ numer piąty? — i wciąż zerkając w półotwarte tamte drzwi.

Sklepiczarka szuka. Nie, niema takich tutek. Jacyś dwaj wchodzi, proszę o salceson. Kiszki podgarlanej też. Niema? No to baleronu. Wchodzi inni, coś gadają, o coś pytają, coś kupują, i niema tego, o co pytają. Mówią, że woda w Wiśle przybiera. No to sklepikarka, że zeszłego roku o tej porze też tak było. To znowu jeden, jak było przed dziesięciu laty, i w końcu mówią wszyscy naraz.

A w tym pokoju zaczyna się dziać coś dziwnego: jakieś głośnie skrzypienie, brzęczenie, chrypienie, jakby młotki dzwoniły, każdy w metal: a każdy na inny ton, a każdy bardzo głośno.

— Patrz — Irena pociąga Stasię do tamtych otwartych drzwi: — patrz, widzisz? Tam się wrzuco dwadzieścia groszy, i wtedy to gra... — szepce.

— Gdzie się wrzuca? Co gra? — Stasia nie może jeszcze dobrze zrozumieć, ale już czuje coś nadzwyczajnego...

Jeden pan, z tych co przy stoliku siedzą przy piwie, majstruje coś przy szafie w rogu pokoju, przy ogromnej szafie, kolorowej i dziwnej... pokręca korbą, nasłuchuje, bije w szafę pięścią, znowu nasłuchuje, a panna przy stoliku śmieje się, że z tego wszystkiego nic nie będzie, że szafa zepsuta...

Szafa wysila się, próbuje tak i owak różnymi głosami, dzwoni, trąbi, bębni, huczy coraz prędzej, coraz prędzej, głośno, bardzo głośno, na cały pokój, na cały dom, aż wybucha z tego wszystkiego muzyką ogłuszającą, pospieszną, rytmiczną, wesołą, wesołą. A Stasia aż się śmieje z radości. Zna już to, poznaje, słyszała to już nieraz na ulicy, może jak szli z orkiestrą, nie pamięta już gdzie... W ogłuszającym waleniu w tam-tam znikają wszystkie biedy: niema już mokrych szmat, przeciekającego dachu nad budą pełną kłopotów, kaszlu małej siostry i złych humorów, niema błota, ani czerwonych swędzących od ciągłego moknięcia nóg, niema przerwanej budowy, żałośnie moknącej na deszczu szkieletem z belek, tak niepodobnych jeszcze do domu, niema nic. Jest tylko grająca szafa, szafa cudowna, czarodziejska szafa, zalewająca cały pokój, i cały dom, i cały moknący w deszczu świat swoim radosnem, ogłuszającym graniem.

Ludzie przy ladzie przestali rozmawiać:

— Ależ gra — szepnął któryś.

— Eeee, przed wojną to ona jeszcze lepiej grała — mówi stara kobieta, wyszedłszy z jakiejś głębi za sklepem z wiklinowym koszem w ręku. — Teraz to się nieraz zatnie, a spoczątku nie może ruszyć, a przed wojną, to bywało, że cała wieś schodziła się słuchać, jak ona gra. Może dlatego się zacina, że tak rzadko gra, ja właśnie powiadam do córki, że przed wojną...

Stasia stoi zasluchana, zapatrzona. Bo szafa nie tylko szaleje, bębni, dzwoni, wali w tam-tam. Jeszcze malowana jest w śliczne rzeczy: w trawiastą zieloność, nie taką, rozlaną w szerokie błonia, jak tu, jak za oknami, tylko taką pofałdowaną w zielone góry, po których chodzą krowy, i na których stoją domki śliczne i małe, jak zabawki, domki o dachach, przyciśniętych kamieniami, niewiadomo poci, chyba poci, żeby nie uleciały w błękitne niebo? Za zie-

lonemi górami stoją wyższe, szare, na których widocznie nic nie chce rosnąć, a za szaremi jeszcze wyższe, białe, jak z cukru. Na prawo wodospad leci z góry, jak wstążka, rozlewa się w strumień, na strumieniu leży mostek, idzie kobieta i dziecko, i dziecko jest takie małe, że sięga ledwie kolan kobiecie. Z jednego domku idzie dym, gęsty i kręcony, prosto w błękit. Na lewo jest czarny las, z lasu wychodzą dwaj ludzie... zaraz...

Co to? Wszystko umilkło, jak nożem uciął. Stara kobieta westchnęła, postąla jeszcze chwilę i znikła gdzieś za sklepem razem ze swoim koszem. Tamci zaczęli znowu rozmawiać. Ten, co, majstrował przy szafie, wrócił do swego stolika pod oknem. Szafa nikt się już nie zajmował. Wszystko znikło.

— Chodźmy — trąciła Stasię Irena — teraz nikt już dwudziestu groszy nie wrzuci, to już widać... może kiedy później... przyjdziemy tu jeszcze... no chodź... Dowidzenia pani — ukłoniła się bardzo grzecznie w stronę bufetu i popychała przed sobą zagapioną przyjaciółkę, ociągającą się, oglądającą w stronę szafy.

Szafa milczała, w swoim kącie, nadąsana... mroczna...

Na dworze równo, cicho pada deszcz. Przed sklepem błoto ciamka pod bosemi nogami. Przy studni, przy wodopoju, tam gdzie zatrzymują się furmanki i woźnice dają koniom pić, nabrało się skądciś wody, stoi cała sadzawka, a wprawdzie jej chyba nie było. Dziewczynki skaczą po kamieniach. Nadjeżdża fura naładowana, jak sterta, niewiadomo czym, bo wszystko pokryte płachtami. Rozprysnęło się wokół błoto, i obie z przyzwyczajenia uskokowały w bok, choć naprawdę nie już im chyba nie mogło zaszkodzić. Ludzie przy koniach też okryci kapturami, workami, aż śmiech patrzeć...

Nie martwiła się również, kiedy wracały przez błonie, zielone gładkie i podmokłe, kiedy wymijały znowu krowy, obojętnie pasące się pod deszczem, jakby nigdy nic. Co więcej, nie martwiła się we wszystkie te złe dni, gnuśne od bezczynności, które mokre od deszczu i lepiące się od błota i aż dygocące w ciasnocie budy od zmartwień, od trosk, od niepokojów, od złych humorów, które w żaden sposób nie miały być dobre... Nie martwiła się nawet w te duszne czarne noce, kiedy deszcz bębnił o deski, przeciekał górą, podciekał dołem i zaciągał bokami. Stasia nawpół siedziała skurczona na brzeжку podmokłego sieniaka i czasem bywało, że ledwie zdążyły naprzemian z matką powylewać deszczówkę z popodstawionych misek, a już trzeba było znowu wstać, wylewać... Krystyna kaszlała, jakby miała kłuszkę. Wkońcu pani Sikorowa zabierała ją na noc, ale tam znowu nie dawała im spać i pissała za matką...

W dzień było łżej, choć znowu matka mało że nie płakała ze zdenerwowania, biedząc się z piecykiem, który dymił, i za nic nie chciało się w nim palić. Ojciec i wujek łapali chwile, kiedy można było coś robić na budowie, ale takich chwil było za mało, więc obaj byli w jaknajgorszych humorach. Nawet Pil-

Lawsze powabna

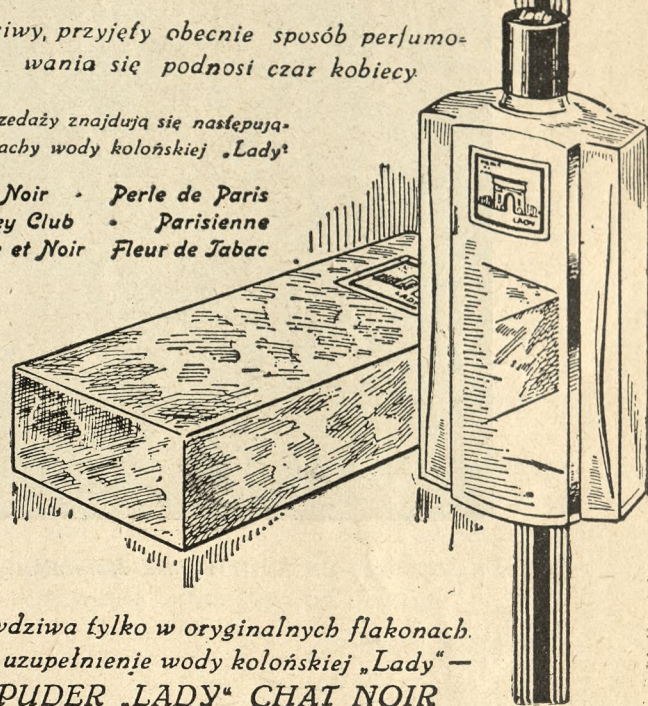
pełna uroku będzie Pani na herbatce, w kinie lub w teatrze, używając wody kolońskiej LADY

"Lady" Eau de Cologne

właściwy, przyjemny obecnie sposób perfumowania się podnosi czar kobiecy

W sprzedaży znajdują się następujące zapachy wody kolońskiej „Lady”

Chat Noir • Perle de Paris
Jockey Club • Parisienne
Rouge et Noir • Fleur de Tabac



Prawdziwa tylko w oryginalnych flakonach.
Jako uzupełnienie wody kolońskiej „Lady” —
PUDER „LADY” CHAT NOIR

nij siedział w kącie osowiały, bo nikomu nie chciało się już z nim dokazywać w tej ciasnocie, nawet Krystynie. A jak tylko zanadto nasuwał się na oczy i przeszkadzał, kręcąc się i bijąc ogonem, to go wyrzucano z budy. Teodora nigdy prawie nie było. Ach, Teodor mało co sobie z czego robił, bo najwięcej gołębnik mu był w głowie. Zrobił, co mu tam kazano, i leciał do swego Edka na cegielnię, ale Stasia nie zazdrościła mu już teraz: czyż nie miała swojej Ireny?

Tak, było czem się martwić, to pewna. Ale czyż nie było także pewne, że o jakiejś chwili smutnego, mokrego dnia zjawi się przed budą, za firanką deszczu upragniona, mała postać, opatulona w mokraj chustę:

— Stasia idziemy na „szafę”. — Bo tak się to u nich teraz nazywało: „iść na szafę”... Mądrała ta Irena; zawsze znalazła jakiś powód, żeby się wkręcić do „kawiarni”. To, że jej matka kłania się i pyta o jakiś towar do sodówki, to znowu, czy już przejeżdżał wóz z lemoniadą czy rozwozili kwas, albo wodę. Czasem kupowała za parę groszy pestek, albo czego innego, ale nigdy nie zjadała tego, tylko odnosiła do sodówki i nigdy nie nazywała tego pestkami, tylko towarem.

(d. c. n.)

Helena Boguszewska.



Przyjazd Marszałka Józefa Piłsudskiego z Magdeburga do Warszawy.

Jedenasty listopada

Źle, przesądnie mawiało się dawniej o polskim listopadzie. Jakaś powtórność katastrofalnych wydarzeń, jakieś smutki jesienne w „Listopadzie” Rzewuskiego, w „Nocy listopadowej” Wyspiańskiego. Wdał się w te sprawy mistycyzm i zdawało się, że trudno jest zmagać się z tajemnym przeznaczeniem.

Fatum nie jest jednak siłą niepokonaną, skoro może mu podołać *człowiek*. Więc też i listopadowym przeciwnościom przyszedł kres. Działo się to czasu wojny światowej, w momencie ostatecznych zmagani na francuskim placu boju, gdy polskie Legjony jednej tylko sprawie służące — walce o niepodległość Polski — odmówiły niemieckiemu werbowaniu. Komentator Piłsudski uwięziony i wywieziony do twierdzy magdeburskiej „pracował jedynie myślą”, pracował też piórem, poddając analizie Siebie i dokonane dzieło: *Czyn Legjonowy*.

Ten długi rok magdeburski był jednak nie tylko bilansowaniem spraw już dokonanych. Dla Komentatora więzienie nie mogło być epilogiem czynu, ani nawet przerwą aktywności. Wiedział, że te „rozbite Legjony”, ta Jego armja, więziona w obozach koncentracyjnych, jest i nadal żywą energją Narodu. Cokolwiek działo się w Polsce okupowanej przez

Niemca i Austryjaka, kraj podminowany był Jego ideą. Wyzwolił przecież Piłsudski najlepsze właściwości Narodu i choć „zamknięty i więziony”, nadal dźwigał Wielką Sprawę myślą, wiarą i pewnością.

Tymczasem ofenzywa francuska rozbiła niemiecki front. Cofająca się w rozproszeniu armja niemiecka weszła w wir rewolucji. Cierpliwy, niemiecki głód wyszczerzył zęby, spracowane ręce żołnierzy wielkiej wojny wyrzuciły cesarski „porządek”. W pośpiechu likwidowano też front wschodni, przygotowywano wycofanie się z Polski, już poruszonych wieściami klęski, już niebezpiecznej dla okupanta.

Dnia 8-go listopada 1918 r. odzyskał wolność Więzień Magdeburski. Wracał przez zrewoltowane Niemcy do Polski, wzburzonej listopadową zawieruchą. Bo, jakże to było w tych dniach, już niemal spełniających wolę niepodległości? Od Wschodu szły na Polskę zagony bolszewizmu; w Galicji Lwów opierał się najazdowi ukraińskiemu; po Cieszyn sięgali Czesi; Wielkopolska i Śląsk jeszcze oddychały pruskim powietrzem. A cały kraj? Zniszczony wojną i okupacją, otwarty dla powracającej z frontu wschodniego trzystotysięcznej armji niemieckiej. Rada Regencyjna, ten triumwirat bez wpływu i zna-

czenia, dzieliła „władzę“ z lubelskim „Tymczasowym Rządem Luwym“.

W szary ranek 11-go listopada, w kilka godzin po opuszczeniu stolicy przez generała - gubernatora Beselera, przybył do Warszawy Komendant Piłsudski. Rozkrzyżowane, rozplakane tłumy witały Go, a On, według politycznej wizji Lechonia, „mówić nie może, mundur na nim szary“...

Wizja tego listopadowego dnia była w istocie oszałamiająca. Realizowała się bowiem natychmiast wolnością i niepodległością. Ruchliwy, zręczny i odważny Warszawianin wyluskiwał żołnierzy niemieckich z broni, krzątał się w milicjanckich odznakach, zapisywał do oddziałów ochotniczych. Zbiegły się zewsząd wiarusy legionowe na nowe wojny, które czerwoną linią miały wyznaczyć granice Państwa.

Ale już nietylko *mojna* szła pod komendą Józefa



Rozbrojenie odwachu niemieckiego na Starym Rynku w Poznaniu.

dy chciał swojego rządu, każdy groził, że innego rządu nie usłucha...“.

Czyż nie było tak, jakgdyby wszystkie zle potęgi dawnej Polski wyzwoliły się w te niebezpieczne listopadowe dni roku 1918-go? Ale tym potęgą, tym tajemnie kotłującym przeznaczeniem przeciwstawił się Człowiek, silniejszy od fatum.

Herminja Naglerowa.

fa Piłsudskiego. Poskromić trzeba było i inne żywioły, tak samo groźne i nieopatrzone. Doraźne zrazu usprawniano improwizowane wysiłki, aby rozbieżność stronnictw nie rozszarpywała serc i umysłów. Oto, jak charakteryzuje Józef Piłsudski ten czas chaosu: „Rozmawiałem z setkami osób, przedstawicielami rozmaitych ziem, organizacji, stowarzyszeń, interesów. Każdy mówił, że jest całym narodem, każ-

Dusza kobiety w korpusie dyplomatycznym

Pani Ambasadorowa Bastianini.

Kiedy P. Bastianini wyszła na nasze powitanie z głębi swego domowego zacisza, zdawało mi się, że już skądś znam to jasne, jakby marmurowe czoło w hebanowej ramie gładko zaczesanych włosów, te ciemne oczy patrzące zawsze tak, jakby o coś pytały, i całą postać, drobną, giętką i wiotką jak łądyga kwiatu.

Było zimne, dżdżyste popołudnie. Na kominku, w rogu saloniku palił się ogień. Przez otwarte drzwi do dużego salonu widać było w zapadającym mroku pęk rozstrzępionych, ponsowych goździków, tryskających z wazonu na wszystkie strony, jak fontanna. I, nie wiem dlaczego, stanęła mi przed oczami Piazza di Spagna w Rzymie, z powodnią ciętych kwiatów, która zalewa podnóża schodów, wiodących na Monte Pincio.

Pani Bastianini miała na sobie suknię z ciemno szafirowego weluru, której długie rękawy ułożone były na ramionach w jakieś bardzo skomplikowane bufki o średnio-

wiecznym profilu. Ta całodziana szata, przylegająca do jej szczupłych kształtów, znowu obudziła we mnie jakieś włoskie, tym razem muzealne wspomnienia. Żadnych ozdób, tylko jeden sznur grubych pereł, spadający na piersi, jak to widzimy na portretach renesansowych dam; drugi taki sam sznur okręcony naokoło napięstka. Wszystko idealnie zharmonizowane z jej poważną, skupioną urodą.

Nad kanapką, na której usiadła, wisiał portret damy, bardzo do niej podobnej. Może to było winą biedermaierowskiego dekoltu i uczesania w stylu cesarzowej Eugenji, dość, że, ten portret wydał mi się wizerunkiem osoby z innej epoki. Z pewnem zdziwieniem dowiedziałam się, że jest to portret jej samej. Malarz uchwycił podobieństwo, zachował powagę rysów, ale zatracił młodość owalu i wyrazu. To jest niewątpliwie pani Ambasadorowa Bastianini taka, jaką będzie kiedyś, ale nie ta, jaką jest dzisiaj.

Zaczyna się romowa, o Italji, o

Polsce, o wpływie Włoch na naszą kulturę, o naszych wzajemnych stosunkach artystycznych i intelektualnych. Jej stłumiony, miękki i ciepły głos jest podobny do szafirowego aksamitu jej sukni. Ma w sobie jakąś zaciszną domową.

Mówimy o balu kostjumowym, który odbył się w ambasadzie włoskiej ubiegłej zimy, i był jedną z sensacyj dyplomatycznego karnawału. Oglądamy fotografie. Na jednej z nich widzimy oboje pp. Bastianini w stylowych kostjumach z epoki renesansu. Trzeba przyznać, że ta urodziwa para doskonale reprezentuje czysty typ rasy latyńskiej.

Dowiaduję się, że p. Bastianini urodziła się w Perugji, w starym umbryjskim mieście, położonym w najbliższym sąsiedztwie Assyżu, i tam zamieszkała aż do zamążpójścia. Teraz rozumiem, dlaczego jej twarz i postać wydała mi się znajoma. Takie właśnie zadumane czoło, takie pytające oczy, takie czyste owa-

le twarzy i smukłe szyje podobne do łodygi kwiatu, mają Madonny Perugina.

Może to wydać się rzeczą dziwną, ale jest niezaprzeczonym faktem, że nigdzie tak, jak w Umbrji nie przechował się w czystej postaci typ ludzki, który służył za model malarzom włoskiego renesansu. Mijając stare domy Assyżu, zatrzymałam się nieraz w zdumieniu przed ciemną wnęką okienną, z której wychylała się ku mnie żywa twarz apostoła lub męczennika, widziana przed chwilą na fresku Giotto.

Dlaczegożby dziewice szlacheckich rodów Perugji nie miały zachować idealnych rysów Madonn Perugina?

Pani Bastianini w rozmowie wykazuje zdumiewające odczucie i jasny sąd o rzeczach. Niema tu frazesów nieokreślonych ani kunsztownych zdań, ale oceny, myśli, uczucia i to bez narzucania swego zdania i bez arbitralnego osądzania faktów.

Mówi mi z prostotą, że w Polsce,

a zwłaszcza w Warszawie czuje się bardzo dobrze, gdyż „czuje się tu trochę jak u siebie w domu. Miasto i życie w niem mają tyle malowniczych, intymnych i serdecznych stron, że mimowoli łatwo się w niem zaaklimatyzować”.

Wychwała szczególnie kobietę polską, „zasługującą nietylko na świetną aureolę, jaką jej dała literatura wszechświatowa, ale również godną uznania z powodu swych wysokich zalet intelektualnych i swego gorącego patriotyzmu”. W wielu innych krajach — mówi p. Ambasadorowa — zdarzyło mi się spotkać tyle kultury specyficznej i tyle dojrzałości na wszystkich polach, jak wśród Polek, nie słyszałam przytem o wielu innych narodach, wśród których czynnik kobiecy w tak znaczny a decydujący sposób przyczynił się do odrodzenia narodu. Prócz tego kobiety polskie okazały mi dużo dobroci i ujawniły instynkt macierzyński podczas choroby mojej córeczki”.

— Ach, więc jest córeczka? — Nietylko córeczka, jest ich dwie, jest również i synek. Dwoje starszych już się uczy. Mają jechać do Wiednia, zdawać egzamin w tamtejszej szkole włoskiej. Na moją prośbę p. Ambasadorowa Bastianini każe przywołać dzieci. Są zgrabne, smagłe, czarnookie i mają tę wrodzoną harmonję ruchów i wdzięk ułożenia, który stanowi jedną z najznamienniejszych cech rasy włoskiej.

I kiedy p. Bastianini staje między niemi, ogarniając je wzrokiem, w jej ciemnych oczach zapalają się światła, których przedtem nie dostrzegałam. Tak! to jest przedewszystkiem matka. Podobieństwo do Madonny Perugina ma głębsze podłoże psychiczne.

Rozmawiamy o Polsce. Pani Bastianini była niedawno w Krakowie i jest nim zachwycona, nazywa go nawet „Florencją Północy”. Szczególnie podobały się jej Wawel i Biblioteka Uniwersytecka, całe miasto wydało się jej najlepszym rezultatem ścisłej współpracy artystycznego geniuszu włoskiego z bogactwem i potęgą Polski; obiecuje sobie zwiedzić niebawem „mystyczne” Wilno, które, jak twierdzi, zachwyci ją wielce.

Na zakończenie naszej krótkiej rozmowy, pytam p. Bastianini o jej upodobania artystyczne. Czy uprawia muzykę?

— O tak, gram na fortepianie, ale tylko dla własnej rozrywki i przyjemności.

— Jest to zupełnie zrozumiałe, kobieta wnętrza nie lubi popisów...

Tu pani Bastianini mi przerywa: — Nie jestem znowu tak bardzo „femme d'intérieur”, jak się to pani wydaje. Uprawiałam i uprawiam ciągle sporty. W Maroku jeździłam codziennie konno, po trzy, cztery godziny dziennie. Lubię szczególnie polowanie par force. Tutaj podczas zimy jeżdżę trochę na nartach i wogóle bardzo lubię ruch fizyczny, dzięki któremu oceniam się później tem więcej zacisze domowe. Kobieta włoska uległa również przemianie dzięki faszyzmowi i nowe pokolenie, nie wyrzekając się swej kobiecości, jest więcej wysportowane i śmielsze od naszego, przypominając raczej Katarzynę Sforza niż Giuliettę czy Franceskę.

— A sztuki plastyczne?

Pani Bastianini, z pewnem zająkowaniem, z którym jest jej bardzo do twarzy, przyznaje, że woli rzeźbę klasyczną i malarstwo odrodzenia od futuryzmu. Trudno, żeby było inaczej. To upodobanie jest organicznie zrosnięte z jej typem. Kto się urodził i wychował wśród mistrzów Quattrocenta, zawsze pozostanie im wiernym.



Pani Ambasadorowa Bastianini.

Już przy wyjściu rzucam jeszcze jedno pytanie: ulubiony autor włoski.

— D'Annunzio, — odpowiada p. Bastianini.

To jest dla mnie niespodzianka. Autor „Ognia” i „Rozkoszy” wydaje mi się tak daleki i obcy peruginowskiej Madonnie...

Ale raptem przypominam sobie, że istnieje jedna, stosunkowo mało znana powieść d'Annunzia z cyklu „Romanse Lilji”. Nazywa się: „Dziewice Skala” i jest opowieścią o trzech siostrach, które mieszkały w starym zamku i w których poeta się zakochał. Były białe, czyste i niedostępne jak lilje.

Okazuje się, że można doszukać się pokrewieństwa duchowego między d'Annunziem a Peruginem...

Stefanja Podhorska-Okotów.

Nasza uroda

jest w znacznej mierze naszą własną zasługą.

Bardzo wiele kobiet traci przedwcześnie urok i świeżość pierwszej młodości z własnej winy. Z karygodnym niedbalstwem używają one do mycia twarzy zwykłych mydeł toaletowych, nieprzetłuszczonych, lub alkalicznych, powodujących łuszczenie się naskórka, pękanie skóry i zmarszczki, będące rezultatem wysuszenia skóry. Kobiety te zdają się nie wiedzieć o tem, że

wyborne Mydła Przetłuszczone M. Malinowskiego całkowicie zabezpieczają od szkodliwych następstw, jakie wywołuje używanie zwykłych mydeł toaletowych. Nie chcą również pamiętać o dobroczynnym działaniu kremów ożywczych „Sportowego” i „Lanolinowego” M. Malinowskiego, ani o tem, że Pudry Higieniczne M. Malinowskiego nadają cerze estetyczną matowość, nie zatykając porów.

Apteka, ul. Nowy Świat 31.
Lab. Chem. Farm., ul. Chmielna 4.

ELŻBIETA SZEMPLIŃSKA.

Nie z nienawiści

*Zamarzy się
czasami*

*szklanka mlecznego spokoju,
odrobina dobroci krowiej...*

*Twoje ręce — skrzydła wichury,
twoje usta — pożar stepowy,
twoje serce —
armata do żaru rodrzana pociskami.*

Księżyc

*nie z nienawiści
i nie na wieki*

*co sześć godzin się choma
w chmury, w noc, w mleczne pustkowia,
w przestrzeń wolny, w odmet daleki,
przed uściskiem oceanicznym.*



W parku jesienią.

(Fot. Poddębski).

Kobieta poleska

(z wędrówki po okolicach Telechan).

Wyrznęłam głową o niską futrynę drzwi, aż mi świeczki w oczach stanęły.

Niskie drzwi, małe okienka, ciemne, niebielone ściany, w rogu przy oknie 2 święte obrazki i wokół nich na drążku powieszzone białe z czerwonymi pasami ręczniki, ławy wokół izby, stół i w progu wielki piec z ogromnym paleniskiem bez drzwiczek, na których miejscu stawia się garnki *przed ogniem*, a nie *na ogniu*, i w tymże piecu narożnik trójkątny, gdzie zapala się łuczywo dla oświetlenia izby — oto obraz wnętrza izby poleskiej.

Jesteśmy na wsi Rudnia.

W tej izbie, gdzie tak dotkliwie zapoznałam się z wysokością drzwi, nieoczekiwany obraz, bo oto na środku, między dwoma okienkami stoi jakaś wielka, apokaliptyczna stwora i warczy pod rękami trojga stojących wokół ludzi. Długi płat burej wełny nawija się na walec. Młody chłopak z jednej strony, młoda kobieta z drugiej kręca korbą, a pod wargi koleczaste walców, starsza kobieta podkłada kłaki runa z niedawno strzyżonych owiec.

Zwoje miękkiej, puszystej wełny leżą na ławie, lśniące płowym polyskiem.

— Wełnę czesemy, tkać będziemy — mówi po naszym powitaniu chłopak, gdy pytam, co to za maszyna.

— To wasza maszyna?

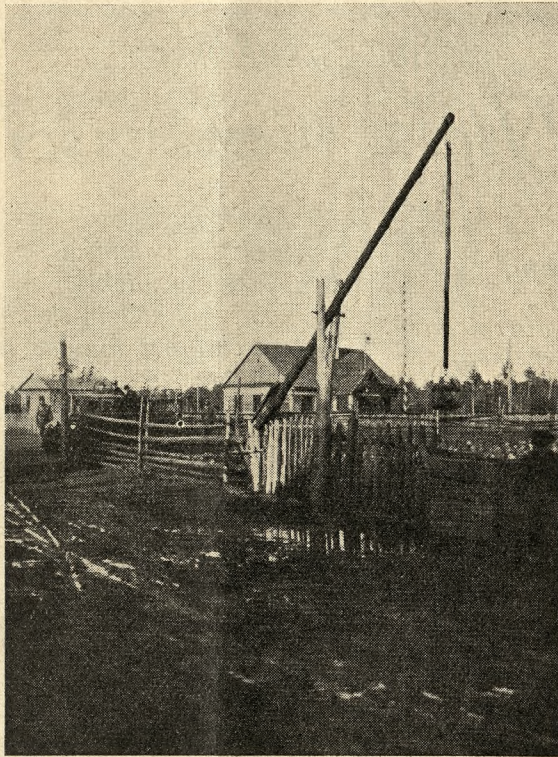
— U nas stoi. Żyd wstawił i za to my dla siebie darmo czesemy. A wełnę cała wieś przynosi.

— To żyd wełnę skupuje?

— Nie. Żydowi się płaci za wyczesanie jednego funta 10 groszy



Leśna struga.



Przy granicy.



Miedlenie lnu.

przy swojej robocie, za użycie maszyny.

— Wy Polacy, że tak czysto mówicie?

— Nie. Matka polska, ojciec ruski.

— No, a wy?

— Chłopcy ruscy, a kobiety polskie.

Odróżniają tu tylko wyznanie, pozatem są „tutejsi”. Ku większej gmatwaninie okazuje się, że kobiety mówią gwarą białoruską, a ów „ruski” chłopak po polsku. Tajemnica rychło się wyjaśnia:

— Z wojska wróciłem temu dwa tygodnie — mówi chłopak.

Wojsko spełnia rolę szkoły. Wojsko daje sposobność poznania kraju, zobaczenia, jak ludzie żyją „w Polsce”, porównania warunków. Wojsko jest pierwszą szkołą obywatelstwa.

Zwracam się do milczącej młódki:

— Chciałabym zobaczyć wasze ręczniki, płótno. Pokażcie mi.

Stoi i przygląda się nam. Nasz przewodnik już znający Siostry-Franciszki z Telechan, których przełożona towarzyszyła mi w tej wędrówce, oburza się:

— No, pokaż ręczniki!

— A poco?

— Jakto: poco? Proszę: pokaż. A ty stoisz.

— I... Może nie kupłat.

— A tobie ciężko ze skrzyni wyjąć? Zmęczysz się?

W ten *dyskurs* wtrącił się młody:

— Pokaż, mówią.

Młódka posłusznie poszła do stojącej w rogu wielkiej skrzyni.

— On jej mąż. — objaśnia nasz przewodnik.

Robię wielkie oczy, wobec młodego wyglądu chłopaka, zapominając, że ma on już odsłużone wojsko, więc musi mieć około 23 lat.

— Już się zdążył ożenić? Przez 2 tygodnie od powrotu z wojska.

— On się przed wojskiem ożenił.
Oni wszyscy się tu przed wojskiem
żenią, w 18 latach już *ženich*.

Tymczasem młoda żona rozkłada
przedemną ręczniki.

— Z bawełną przerabiane. — mó-
wi.

— My bawełnę i farby u Żyda
bierzem.

— Poco z bawełną mieszacie?

— Lnu mało i Żyd tak poradził.

Wciąż ten Żyd. Nic się tu bez
Żyda nie robi.

— Ile chcesz za taki ręcznik?

— A ile dadzą?

— Pojęcia nie mam co to warte.
Chcę wziąć do pokazania, jak wy
tu tkacie. Sama oznacz, ile cię to
kosztuje.

Certowanie się trwa dłuższy czas.
Wreszcie młódka rzuca:

— *Tri złotych*.

— Drogo, — mówi Siostra. —
Ja takie po 2 złote kupuję.

— Dwa dosyć byłoby — mówi
młody. Zaraz pospiesznie doda-
je: — Ale ja się nie wtrącam do
tej rzeczy. To jej własność.

— Mnie *hroszi* nie treba. Wolę
ręczniki mieć.

Rozwiązuję kwestję, dając jej 2
złote „za ręcznik” i złotego „na cu-
kierki”. Dostaję mimo to burę od
Siostry:

— Pani nam, tutejszym, ceny
psuje. One sprzedadzą Żydom za
2 złote, ale powiedzą, że pani im
3 złote dała i Żydzi ceny podniosą.
Kto na tem straci? Wytwórca i na-
bywca, a zarobi pośrednik i tak
dość ich oszukujący.

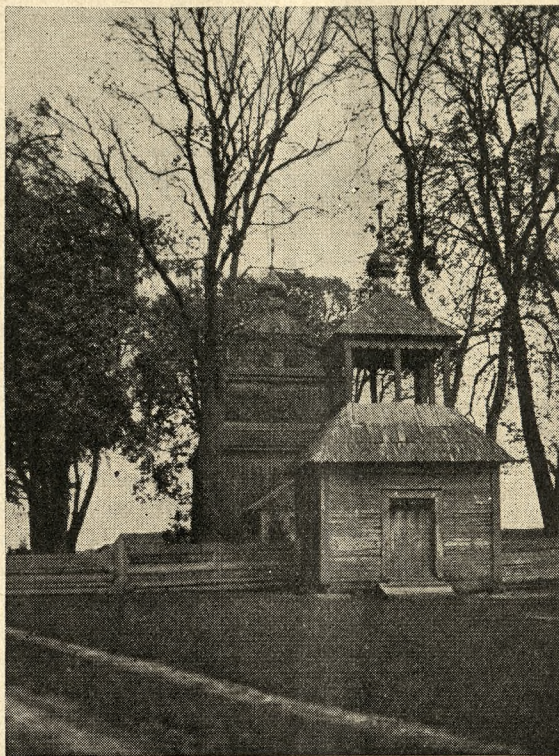
Idziemy dalej. W następnej
chacie trafiamy do ciemnej prze-
stronnej, pustej izby, z której wi-
dać boczną, gdzie pali się
ogień w piecu, i skąd dochodzą
ludzkie głosy.

Nasz przewodnik woła w tamtą
stronę.

— „Hoditie siuda. Gosti priszli”.



Szlachecka „okolica”.



Stara cerkiewka.



Zagroda na Polesiu.

Zatrzepotały się zmieszane sze-
pty, zatupotały stąpania i... cisza.

Rozglądam się po mrocznej iz-
bie: przy oknie w rogu obok ob-
razków świętych i nad oknem wi-
szą ręczniki. Wokół izby przy
ścianie — wąskie ławy, przed ok-
nem stół. Na środku ściany wy-
soka ściana pieca, którego pale-
nisko znajduje się w drugiej iz-
bie. W rogu — skrzynia wielka.
I nie więcej, żadnego sprzętu.

— Gospodarz tu zamożny —
mówi towarzyszący nam kierow-
nik szkoły. — To izba paradna.

Tymczasem nasz przewodnik
dogaduje głośno w drugiej izbie:

— Światło zapalcie. Goście są, a
wy nie wychodzicie.

Przez izbę przebiega jedna ko-
bieta i znika. Jakiś młody wnosi
wreszcie zapaloną lampkę nafto-
wą i osadza ją w wieszaku nad
stołem, warcząc:

— Światło kosztuje.

Za nim wsuwa się starszy bro-
dacz i siada pod ścianą na ławie:

— A mnie na co gości. — Ja ich
nie prosił..

Nasz przewodnik tłumaczy mu,
że to „aż z Warszawy”, że chcemy
poznać, jak tu ludzie żyją, że po-
tem opisane to będzie w piśmie.

— I jeszcze pisze! — warczy
gospodarz. — Opisze, a mnie co za-
płacić każą. Podatek jaki, albo co.

Nagle obok mnie widzę kobietę
i na stole rozrzucone 2 ręczniki.
Aha! Widać chce sprzedać.

— No, co? — mówię — sprzeda-
cie mi ręcznik?

— A mnie na co? — odpowia-
da. — Nie chce ja.

— Ot widzicie: ja u sąsiadów
kupiłam, ale nie taki, jak wasze.
A chciałabym w Warszawie poka-
zać. U nas też lniane suknie się no-
si, haftowane. Ciekawiejszy, jakie
wy płótno tkacie. Tyle masz tych
ręczników. Inny sobie utkasz.

— Ja nie *dońka*. — pada odpowiedź.

— Ja użę *niemistka*.

Co ma rzepa do kalafjora? Przewodnik tłumaczy:

— Póki ona na *ženicha* czekała, to tkala. Na wesele dużo ręczników trzeba. I wokół izby bogato zawiesić i młodych przepasać i *batiuszce* dać. A teraz już nie idzie, żeby *niemistka* ręczniki tkala.

— Mnie na *szczo*. — rzuca młoda. — Ja *niemistka*. Nie *treba* *tkaty*.

Tkają mężatki zwoje płótna, ale już nie wypada im ręczników tkąć. Co kraj, to obyczaj.

— Zaglądam do drugiej izby, oświetlonej ogniem z komina: w piecu stoją rzędem 3 garnki, przed nimi suszą się pestki słonecznika czy dyni. Z mrocznych kątów wyglądają dzieci. Ciasno tu, nieporządknie.

JEDWABISTA. MATOWA

CERĘ



— To wioska znana z pierwotności — tłumaczy mi później Siostra Franciszka. — Ani to do cerkwi

nie chodzi, ani do kościoła, ani szkoły nie przeszło. Nic, tylko las i ta ciemna chata.

Rzeczywiście, kiedy się chodzi po niektórych wioskach tamtejszych, odnosi się wrażenie zupełnej dziczy. Ludzie nie wiedzą, jak się zachować. Wchodzisz do chaty — nikt nie pokaże się. Kryją się. Dzieci, jak wiewiórki, myk! myk! myk! na piec i dopiero stamtąd wysuwają i cofają główki. Dorośli, o ile nie uciekli, to patrzą i milczą. Trudno ich rozgadać. Boją się. Siedzą na ławie i patrzą z podełba. Wiadomo: co obcy może dobrego przynieść?

— A nam i tak ciężko. — mówią.

— Żyto słabe, jęczmień nie obrodził, kartofle tylko obrodziły. A teraz serwituty kasują i bydła tyle trzymać nie można, co przedtem, a ziemia nasza bez nawozu nie da.

Z. Zaleska.

Wieczór autorek polskich w Ipsie

Jak Ips Ipsem, nie widziano takiego tłoku w jego salach. Nawet Marinetti nie miał takiego powodzenia jak autorki polskie.

O godzinie 8-mej wszystkie miejscy siedzące były zajęte, a przed kasą nie jeden ogon, ale dziesięć ogonów zbiło się w kłęb zdenerwowanych palt i tuter. Sprzedano około 500 biletów. Konieczność rozbudowy Ipsu nigdy chyba nie okazała się tak oczywistą jak w momencie, gdy stał się megatonem głosów kobiecych, brzęczących szlachetnym metalem talentu.

Kto śmiał powiedzieć, że u nas nie interesują się literaturą? A może to była tylko ciekawość zobaczyć na własne oczy, jak wygląda autorka „Niedobrej Miłości”, „Sprawy Moniki”, „Egipskiej pszenicy”, czy „Sabin”?

Ciekawość ta, niestety, tylko częściowo została zaspokojona. Parę autorek, już po wydrukowaniu afisza i zaproszeń, dało znać, że utworów swoich ani czytać ani udzielić do przeczytania nie mogą. Pawlikowska-Jasnorzewska musiała wyjechać do Krakowa, a Boguszeńska dała wprawdzie interesujący fragment ze swej nowej książki dla mło-

dzieży, p. t. „Za zielonym wałem”, ale sama czytać nie chciała. Z zapowiedzianych zatem 11 autorek reprezentowanych było 7, z tych 5 czytało własne utwory, z wyjątkiem Kuncewiczowej, Pawlikowskiej, utwory nigdzie przedtem nie drukowane. Zresztą pomimo tego, że dla każdej autorki zarezerwowano od 10 do 20 minut, materiału i tak było dużo.

„Wieczór” trwał do nocy, gdyż skończył się o 10½.

Doskonałym pomysłem było powiązanie poszczególnych recytacji konferansjerką. Trudnej roli „żywego programu”, który miał być jednocześnie i „księgą zażaleń” podjęła się Jadwiga Kiewnarska i wypełniła ją po mistrzowsku. „Celadon i Astrea i dobrze znany czytelnikom „Bluszczu”, „Najdziwniejszy z romansów Pani Sand” mogły być dumne ze swej autorki. Nie zawiodła również położonego w niej zaufania koleżanek po piórze. „Wprowadzała” każdą z nich z finezją, swobodą i dowcipem, życzliwym, nie uszczypliwym. Kto wie, jak łatwo jest przekroczyć granicę, dzielącą żart od złośliwości, ten tem wyżej cenić będzie dar nawiązywania kontaktu z audytorjum i wywoływania wesołe-

go nastroju bez wycieczek osobistych, dar, jaki wpiełni posiada Jadwiga Kiewnarska.

Na pierwszy ogień poszedł doskonały feljeton o Ipsie Marji Kuncewiczowej z cyklu „Dyliżansów Warszawskich”, niestety już drukowany w „Gazecie Polskiej”. Trudno! Czasem autorki niechętnie dzielą się swymi niedrukowanymi jeszcze utworami. Najmłodsze dziecko mógłby ktoś „zuroczyć”.

Po „Dyliżansie”, Alina Halska, artystka dramatyczna, świetna odtwórczyni Rozy Wenedy, świeżo wystawionej w teatrze im. Słowackiego w Krakowie, odczytała utwory Marji Pawlikowskiej - Jasnorzewskiej: „Sen”, „Szpilki” i „Ondynę”, wkładając dużo pietyzmu i głębokiego odczucia w liryczne zwierzenia poetki.

Wstrząsający fragment Ewy Szemberg - Zarembiny p. t. „Zwycięstwo pani Wincenty” wprowadził słuchaczy w świat napół realny, napół fantastyczny tragedij kobiecych. Prosta, a jednak niesłychanie wymowna opowieść o „Śpiewającej szafie”, Heleny Boguszeńskiej, odczytana przez Stanisławę Sznaper, opowieść, której druk zaczynamy

Jak wykonać cały szereg
wykwintnych, m o d n y c h
rzeczy, naucz Panie ksią-
żeczka pod tytułem:

„ARTYSTYCZNE PIKOWANIE”
w oprac. T. Głębockiej

Cena 1 zł. 50 gr. z prze-
syłką poczt. 1 zł. 80 gr.

Do nabycia w T o w. W y d.
„Bluszcz” Warszawa, Solec 87
i Świętokrzyska 17 oraz we
wszystkich większych księ-
garniach. Konto P.K.O. 12.200



Pięć autorek w karykaturze Wandy Pogonowskiej.

obecnie w „Bluszczu“, fragment Kazimierzy Muszałówny o „Lalce dziewczynki z baraków“, to obrazki z życia szarych ludzi przedmieścia, których troski, pragnienia, wysiłki przychodzą coraz częściej do głosu w formie literackiego reportażu.

W przeszłość, ciągle jeszcze żywą i nasuwającą analogję z dniem dzisiejszym, wprowadziła nas Herminja Naglerowa rozdziałem z powieści „Krausowie i inni“, będącej częścią dużego cyklu pokoleniowego „Ka-

rjery“, sięgającego czasów popowstaniowych we Wschodniej Małopolsce. Marja Morozowicz-Szczepkowska zamknęła wieczór dowcipnie i efektownie odczytaną sceną ze swej najnowszej sztuki „Typ A“, która wkrótce, jak to donosiliśmy, ukaże się na scenie teatru Ate-neum. Jest to cięta satyra na manję teoretyzowania i naukowości w sprawach, w których decyduje instynkt i swobodny dobór.

Ten pierwszy „Wieczór autorek“,

pomimo pewnych niedociągnięć, np. nieobecność paru osób zapowiedzianych, zbytnia pokrewność tematów w paru fragmentach i niezawsze szczęśliwa interpretacja, dowiódł, że tego rodzaju imprezy są potrzebne i mogą liczyć na powodzenie.

Polskie Zjednoczenie Kobiet, Pracujących Zawodowo, które zorganizowało wieczór na terenie Międzynarodowej Wystawy Plastyczek, może być dumne z owocnego i udanego eksperymentu.

S. P. O.

STANISŁAWA SZNAPER.

Chodź się ze mną bawić

Chodź się ze mną w kasztany pobawić nad wodą,

Bo ja nie umiem sama.

Teraz to wcale nie chodzi do ogrodu

Ze mną moja mama.

Chodzę teraz z jednym panem,

Ale przy nim tobym nie zbierała,

Bo on jest zaraz rozgniewany

I mówi o mnie „mała“.

A przecież ja nie jestem mała.

A mam tak dużo kasztanów:

(Dziś jestem sama w ogrodzie)

Są cudne, przegomane...

Trochę się boję ogrodnika,

Bo jak zobaczy, że zbieram na trawnikach,

To może mnie tą laską przebodzie.

Mam kasztanów całe górki:

Pod drzewem, przy kamieniu.

Tam nikt nie chodzi, bo tam mokra ziemia.

Raz tylko leciała miewiórka,

Ale ona chyba nie zabierze.

Naco jej gorzki kasztan? To jest mądre zwierzę.

No to chodźmy. Bo pewno po mnie zaraz przyjdą.

A kasztany zostaną w wilgoci i zgniją.

Ja jestem grzeczna. Często nie chodzę po trawie.

Jak się nazywasz, dziewczynko? Chodź się ze mną bawić!

Z T E A T R Ó W



Grywińska w roli Klary.

„Sygnały“ Emy Szelburg - Zarembiny
w teatrze Kameralnym.

Poezja może sygnalizować niebezpieczeństwa społeczne, ale problemów ekonomiczno-społecznych nie rozwiązuje. Tytuł sztuki „Sygnały“ dowodzi, że autorka trafnie oceniła zasięg i możliwości poezji w dziedzinie socjalnej. Ale treść sztuki kłóci się z tytułem. Poetka fantasmagorji i grozy instynktownie czuła potrzebę wyjścia z impasu, debiutująca dramatopisarka mgliście zdawała sobie sprawę z konieczności rozwiązania problemu na scenie i uczyniła to zapomocą naiwnego happy-endu, jak w jasełkach. „A za wszystkie twoje zbytki idź do piekła, boś ty brzydki!“ Wielkiego Kuglarza, szatana kapitalizmu, zbuntowani robotnicy wrzucają do pieca fabrycznego, aby z radością zająć miejsca przy tej samej, automatyzującej człowieka, maszynie, którą nienawidzili, gdy była w ruchu, a pokochali i za wszelką cenę zapragnęli uruchomić, gdy stała beczynna.

A zatem socjalizacja warsztatów produkcji? Czy to ma być uniwersalne lekarstwo na kryzys? Widzimy, z jakim skutkiem stosowane jest w Sowietach. Prawda, że racjonalniej i moralniej pracować dla dobra ogólnego, niż celem napychania kieszeni indywidualnym Molochom kapitalizmu, ale ta sama świadomość choć może

ożywczo wpłynąć na postawę psychiczną robotnika wobec maszyny, nie zmieni, niestety, zabójczego oddziaływania maszyny człowieka. I nie tu nie pomogą filmy sowieckie o piatiletce i zdjęcia roześmianych od ucha do ucha gęb proletariackich dziewcząt, obsługujących turbiny, motory i traktory. Praca fizyczna zawsze będzie męczyć mięśnie i zgrubiać naskórek, podobnie, jak praca umysłowa wysubtelnia intelekt i wyjaławia mózg.

To są, zdawałoby się, fakty, aż nazbyt elementarne, żeby nad nimi dyskutować. Ale autorce „Sygnałów“ chodziło, zdaje się, właśnie o efekty prymitywne. Publiczność, do której przemawia, to szara masa, którą pragnie zapalić protestem i buntem w pochód ławy. Zakończenie aktu trzeciego, kiedy bezrobotni rzucają się na widownie, jest przykładem doskonałego zastosowania prymitywnego efektu, obliczonego na niezblazowaną wrażliwość prostaczków. Efekt to podwójny: bezpośredni i symboliczny. Tylko, że symbolika, jak zbyt delikatne perfumy, często zwietrzeje, zanim dojdzie do przeznaczonych nozdrzy, a brutalny gest wraża się w pamięć i we właściwym momencie zapłonie jak hasło, jak sygnał.

Tych sygnałów w sztuce jest dużo, a wszystkie są czerwone, wszystkie ostrzegają, że tor zajęty, że współczesnemu ustrojowi kapitalistycznemu grozi nieunikniona katastrofa. A zatem publicystyka, symbolicznie i syntetycznie ugrupowany faktomontaż? Niezupełnie, tu, jak zwykle zresztą u Zarembiny, płaszczyzna dotkliwego okrutnego realizmu krzyżuje się z falistą powierzchnią bajki. Niema granic między temi dwoma światami. Wielki Kuglarz za przykładem starego Mefistofela zjawia się o północy na zaklęcie nowoczesnego



Strońska jako Marjanna.

Z ubiegłego tygodnia

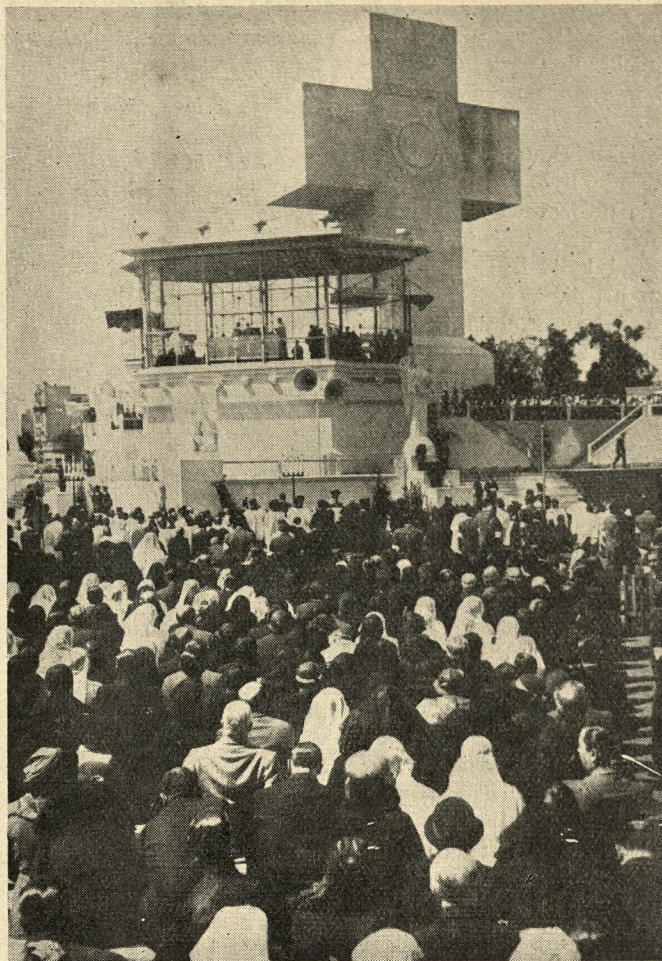
Fausta - idealisty. Teatr marionetek w szynku dla bezrobotnych przeradza się w symboliczną rewję widm ofiar kapitalizmu i militarizmu. W prozie poetyckiej Zarembina jest mistrzynią symbiozy tych dwóch światów — na scenie to współżycie zatraća chwilami mezaljanssem. Są rzeczy, które rozsypują się w proch pod muśnięciem reflektora teatralnego — gorzej, bo popadają w groteskę. Czerwono-zielone światła, mające przetworzyć wynędzniałą Klarę w dorodną piękność, girlsy z mandolinami w tanecznym rytmie topiące niewidzialne worki z kawą... Nie, to stanowczo za wiele, a zarazem za mało, jak na teatr współczesny, nawet, gdyby miał być teatrem proletariackim.

Wspominałam o scenie z kukielkami. Ta scena była dla mnie momentem rewelacyjnym w stosunku do scenicznych możliwości autorki „Sygnałów”. Dała mi ona niejako klucz do szkatułki z marnującymi się skarbami. Utwierdziły mnie w tym przekonaniu postacie trzech komparsów, królów szmalcu, bawelny i stali, pojętych jako schematy. I chwila, kiedy robotnicy zrozumieli, że są kukielkami w ręku Wielkiego Kuglarza. Natura ciągnie wilka do lasu. żywiołowa, niesamowita wyobraźnia Zarembiny, podziemne nurty panteistycznego ujmowania świata, skłonność do symbolizmu, pociąg do okropności, pewna dziecinna naiwność w formułowaniu wniosków, wreszcie wiersz o rytmie i rymie jasełkowym — przecież to wszystko pierwszorzędne warunki na autorkę sztuk do teatru marionetek! Być twórczynią polskiego teatru „dei Piccoli”, zrewolucjonizować teatr Kukielek naprawdę, to chyba wdzięczniejsze pole niż transponować publicystykę na megafon teatru. Kto wie, czy Zarembina, błędząc poomacku w ciemnościach swojej sceny, nie krąży instynktownie naokoło właściwej drogi swoich artystycznych przeznaczeń, czy jej chybione pod pewnemi względami „Sygnały” nie sygnalizują nam nowego zwrotu w jej pięknej, ponurą tajemniczą odwetu społecznego omroczonej twórczości?

A teraz słówko o reżyserji i wykonaniu. Poważną przeszkodą dla inscenizatora była płytkość i szczupłość sceny, nadającej się raczej dla produkcji kameralnych. Drugą była chwiejność w wyborze między realizmem a symbolizmem. Wynikająca z tego dwoistość inscenizacji dała w rezultacie ostatecznym zwycięstwo realizmu. Wskutek tego przekonujący wypadły tylko te sceny, w których przemawia brutalna prawda życiowa. Wnętrze chaty i szynk — to były malowidła, wstrząsające naturalizmem.

Najwdzięczniejsze role: Matki, Marjanny i Klary spoczywały w rękach trzech artystek: Horeckiej, Strońskiej i Grywińskiej, z których każda wydobyla właściwy ton z kreowanej postaci. Do wyżyn wstrząsającego wyrazu wzniosła się Strońska w roli matki - nędzarki. Adwentowiec miał doskonałą maskę wielkiego Kuglarza, ale patos jego deklamatorskich tyrad brzmiał bez przekonania. I najszlachetniejszy metal może być ciekawym bez pokrycia.

S. P. O.



Modły przed olbrzymim krucyfiksem na Kongresie Eucharystycznym w Buenos Aires.

O silną władzę we Francji. — Projekt reformy konstytucji. — Znak czasu. — Nasze reminiscencje ustrojowe. — Co powie Izba Deputowanych. — I Belgja myśli o reformie. — Saara.

Przygotowany przez Gastona Doumergue'a projekt reformy konstytucji, burzliwie odrzucony przez kongres radykałów w Nantes, a w rezultacie przyjęty większością głosów przez Radę Ministrów — jest nie tylko dla narodu francuskiego wydarzeniem ogromnie ważnym. Wewnętrzne niepokoje we Francji — czy to jako krwawe walki uliczne, czy jako walki stronnictw, czy też jako burze w Izbach ustawodawczych — wskazywały na konieczność takich zmian w konstytucji, które dałyby państwu autorytet silnej władzy.

Projekt reformy ustroju w kierunku wzmocnienia władzy prezydenta jest jakgdyby „znakiem czasu”. Więc nawet tam, gdzie parlamentaryzm ma swoją tradycję, nastąpić musiało przesilenie idei parlamentaryzmu w dawnej formie. Premier francuski uszanował jednak tradycję, zaznaczając w swoim przemówieniu, że należy strzec się uogólnień. „W parlamencie bowiem są ludzie wartościowi, którzy pragną służyć interesom kraju i posiadają odpowiednie warunki do tego, aby krajem rządzić. Ludzie ci, niestety są rozrzucony po różnych stronnictwach i partjach,

wskutek czego parlament często przypomina kalejdoskop. Ludzie ci tracą czas na walki o władzę i z tego powodu nie mogą uczynić nic pozytywnego, nawet wówczas, gdy dojdą do władzy. Często ludzie ci bronić się muszą poprostu przed intrygami tych, którzy pragną zająć ich miejsce”.

Przytoczyliśmy słowa p. Doumergue'a, nie dlatego, że są jakąś rewelacją, ale właśnie dlatego, że są czemś dobrze znanym i zrozumiałym dla nas, pamiętających nie tak dawno jeszcze czasy sejmokracji w Polsce odrodzonej. Droga, jaką zmierza się ku uzdrowieniu stosunków wewnętrznych - politycznych, jest wszędzie nieomal ta sama. Chodzi o czynnik regulujący tę wewnętrzną politykę, o czynnik powstrzymujący rozprężenie. Jest to jakby powrót do władzy jednostki, oczywiście władzy ściśle określonej konstytucją. Według projektu francuskiego, czynnikiem trwałości ma być prezydent, któremu konstytucja nadaje prawo rozwiązyania parlamentu za uprzednią zgodą senatu w pierwszym roku kadencji Izby, a bez uprzedniego odwołania się do senatu w następnych latach kadencji.

Warto tu przypomnieć, że dotychczas władza prezydenta we Francji była iluzoryczna. Prezydent spełniał jedynie reprezentatywne funkcje. Warto też przypomnieć, że polska konstytucja marcowa,

wzorowana na francuskiej, wprowadzała i u nas te same niedomagania ustrojowe, w znacznej mierze już zreformowane po latach doświadczeń. Projekt polskiej konstytucji również bardzo szczegółowo określił to wzmocnienie władzy prezydenta, aby zapobiedz niebezpieczeństwu płynności i zmienności w sprawach wewnętrzno-politycznych.

Uchwalenie projektu Doumergue'a przez Radę Ministrów nie było jednomyślne. Przeciwwstawilo się projektowi sześciu ministrów radykałów i niewątpliwie w Izbie Deputowanych radykali będą głosowali przeciw zmianom ustrojowym. Nie da się dziś przewidzieć, jak wypadnie cyfrowo to głosowanie, to też zwolennicy projektu zapowiadają możliwość rozwiązania Izby przez Doumergue'a.

Skoro mówiliśmy tu o „znaku czasu” — trzeba zanotować zapowiedź premiera belgijskiego de Broqueville o zamierzonej reformie ustrojowej. Pójdzie ona również po linii wzmocnień, aby, jak powiedział premier, nie dopuścić do żadnej dyktatury, a zwłaszcza do dyktatury ulicy. Widzimy w tych dwóch krajach wyraźny kurs na prawo.

Jeżeli zważymy, że w niedługim czasie musi się rozegrać sprawa Zagłębia Saary, że ten plebiscyt w Zagłębiu będzie sui generis rozprawą między Francją a Niemcami — zrozumiemy, że troska obecnego kierownika rządów we Francji jest aktualna!

H. N.

Z K S I A Ż E K

Józef Mączka. „Starym Szlakiem”. Wydanie III, z przedmową J. A. Teslara. Nieznanymi wierszami poety uzupełnił i wstęp napisał P. J. Hausvater. Warszawa 1934. Główna Księgarnia Wojskowa. Cena 3,50 zł.

... zaś którzy wyszli z pośród Was
I krew oddali swą serdeczną,
niech będą wartą Wam słoneczną
po wszystkich czas — po wszystkich czas.
I niechaj granic polskiej ziemi
 duchami strzegą płomiennymi.

Płomienne, nawskroś żołnierskie, niewyszukane, a w swej prostocie piękne poezje Józefa Mączki, tego barda legjonowego, znajdują łatwo dostęp do serc żołnierskich. Nic też dziwnego, że w rok po ukazaniu się zbioru jego poezyj wychodzi obecnie trzecie ich wydanie p. t. „Starym szlakiem”. Obecne wydanie różni się znacznie od poprzedniego. Dotychczas bowiem mało wiedzieliśmy o życiu i twórczości poetyckiej Józefa Mączki z czasów przedwojennych. W związku z tem powstawało przypuszczenie, że talent tego bodaj najwybitniejszego poety legjonowego zabłysnął dopiero w czasie wielkiej wojny. Tak jednak nie było. Mączka tworzył od najwcześniejszej młodości, choć najwspanialszy rozkwit jego talentu wy-

padł istotnie na czas wojny. Obecnie te właśnie najwcześniejsze utwory poety, szczere i piękne, wydobywa z zapomnienia trzecie wydanie „Starym szlakiem”. Ponadto znajdujemy w niem mnóstwo nieznanych dotychczas utworów oraz szczegółów biograficznych z dzieciństwa, młodości i czasów akademickich zgasłego poety.

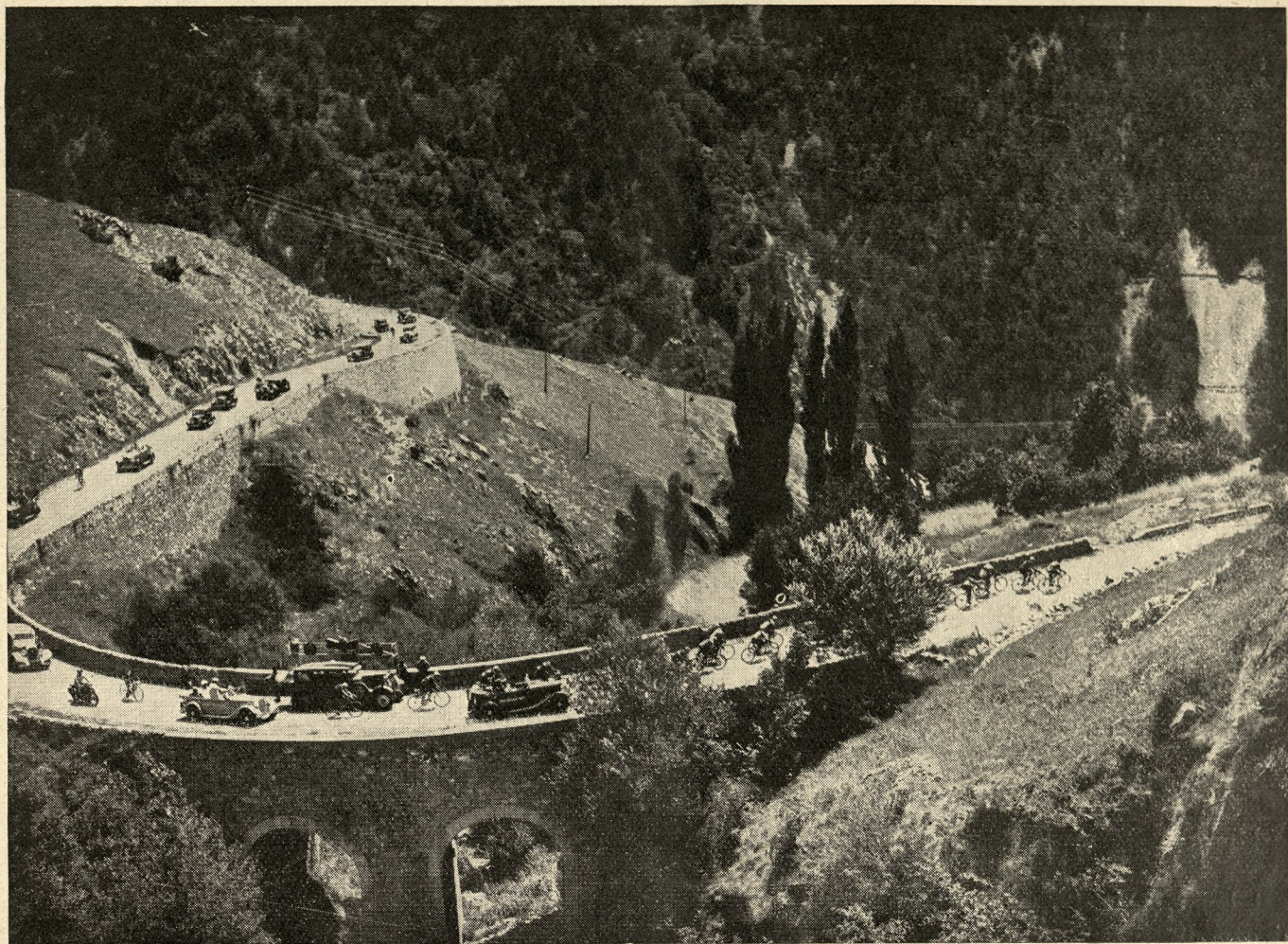
KONKURS NA UTWÓR DRAMATYCZNY O WSPÓŁCZESNEJ WSI

Szereg konkursów literackich, które tego roku ożywiły ruch literacki w Polsce wzrósł ostatnio o jeszcze jedną inicjatywę. Związek teatrów ludowych w Polsce ogłosił nowy konkurs na utwór dramatyczny, ujmujący w swej treści zagadnienia gospodarcze, społeczno-polityczne i kulturalne współczesnej wsi, ze szczególnem uwzględnieniem roli młodzieży wiejskiej. Za najlepsze utwory przewidziano nagrody w wysokości 500 zł., 300 zł. i 100 zł. Termin składania prac upływa z dniem 1 lutego 1935, natomiast wynik zostanie ogłoszony 1 czerwca 1935. Sąd konkursowy stanowią: J. Cierniak, H. Ładosz, St. Młodziejewicz, I. Solarz i J. Turowiczówna. Konkurs Związku Teatrów ludowych jest czwartym konkursem dramatycznym, ogłoszonym w Polsce w ciągu bieżącego roku.



Pani Marszałkoma Piłsudska w towarzystwie sekretarki pani Jadwigi Barthel de Weydental zwiedziła Międzynarodową Wystawę Plastyczek w Ipsie, witana i opromadzana przez Zarząd Polskiego Zjednoczenia Kobiet Pracujących Zawodowo w osobach pań: Szelałgowskiej - Paradowskiej, Glinickiej i Krawczyńskiej, oraz przez dyrektora Ipsu, p. Szczęsnego Rutkowskiego.

Wychowanie fizyczne i sport



Raid naokoło Francji.

Przy kierownicy

Kto dziś nie marzy o samochodzie? O tym symbolu swobody i niezależności, najmilszej rozrywce i najpotężniejszym narkotyku! Auto, to zwierciadło epoki, jej techniki, komfortu, tempa. Szybko, niczym dywan Aladyna, przenosi nas z pełnego dymu i hałasu miasta w ciche objęcia pól. Przez okno wpada świeża woń siana, gwiazdy drżą na rozległym niebie. Obręcz myśli, ściskająca głowę, zwalnia ucisk, serce odnajduje spokojny rytm. Przestrzeń staje się naszą własnością, którą eksploatujemy dowoli. Postój, gdzie się oczom spodoba: w szczerem polu, w lesie lub małym, nieznanym miasteczku. Pochłaniamy niewyczerpany, kolorowy film. I tempo, tempo! Żyjemy z akceleratorem.

Auto śni się każdej kobiecie. I takiej, co już zaznała rozkoszy jazdy i tej, która ją ledwie przeczuwa w lśniącej kształcie spotykanej na ulicy limuzyny.

Jakież cudne i mądre są te dzisiejsze maszyny! Troska twórców o zwiększenie szybkości drogą zmniejszenia powietrznych oporów nadaje im obecnie aerodynamiczne, niesamowite kształty. Kształty „kro-

plowe“. Płynne, łukowate linje krawędzi, silnie pochylone wstecz przednie szyby, potężne błotniki osłaniające koła na balonach, charakterystyczne chłodnice i dziwne, „ogoniaste“ tyły stwarzają ultramoderne sylwetkę, której wspaniałość podnoszą harmonijne barwy najnowszych, metalizujących lakierów. Ostatni krzyk techniki i komfortu zaopatruje te cacka: w coraz bardziej zdumiewające urządzenia nadwozia i ulepszenia motoru.

Szczęśliwa właścicielka nowoczesnej limuzyny słucha w podróży radja, stosownie do kaprysu zamienia swój wóz w mały bar lub miękką sypialnię. Przed chłodem chroni ją centralne ogrzewanie, we mgle prowadzi pomarańczowe światło sodowych lamp, blask słońca łagodzi fioletowa szyba. Z przed oczu jej zmiata śnieg czy deszcz pracowita automatyczna wycieraczka, na jezdni zmiata szarych, pieszych śmiertelników potrójny akord klaksonu. Bajka staje się rzeczywistością.

Dlatego kobieta o aucie marzy i dlatego coraz częściej widzimy ją przy kierownicy. Począwszy od

Jej Królewskiej Mości Liljanki, która w filmie dosiada swego białego monstrum, skończywszy na zwykłej mieszkance globu, ginącej wraz ze swym jednokonnym karzełkiem w cieniu dwupiętrowych autobusów Londynu. Stosunkowo najrzadziej jeździ samochodem Polka. Zagranicą, gdzie już w niektórych krajach nieomal każdy obywatel posiada własną maszynę, a w każdym razie praktyczną umiejętność jazdy, dziewczęta prowadzące auto nie są żadnym wyjątkiem.

Do towarzystwa — najświeższy „flirt“, albo najukochańsze, czworonożne, cierpliwe dziwadło o geometrycznym pysku. Dziewczęta same się sobą opiekują, jeżdżą na weekendy, paczki młodych ludzi spędzają całe dnie na rozjazdach. Przyzwyczajenie się nie wozi i nikt nie ma się czasu temu dziwić. Ani rodzice, ani mężowie. Może to i dobrze, a może i źle. W każdym razie fakt, duch czasu. Przesądów jaknajmniej i jaknajlżejszy bagaż. Sandwicze. a w walizeczce pyjama, kolońska woda i szczotka do zębów.

Na camping bierze się półbuciki na płaskim obcasie, gruby i miękki sportowy płaszcz lub futrzany żakiet i beret. Na miasto, do kawiarni czy za sprawunkami pani ubiera się dowolnie, odpowiednio do pory dnia i zamiarów. Na konkursach elegancji samochodów, od których roi się zagranicą, właści-



Z auta wszystko można zobaczyć...

cielka maszyny roztacza przepych najświetniejszych kreacji, do zwiewnej, ziemi sięgającej organdy i olbrzymiego kapelusza włącznie. Wszystkie domy mód prześcigają się wówczas w pomysłach modeli. A pani wygląda tak uroczo, że sędziowie mimowoli miast za samochód stawiają noty za piękność właścicielki.

Auto daje wiele satysfakcji, lecz i wiele od kierowcy wymaga: umiejętności i wiedzy. Zwłaszcza automobilizm pojęty, sportowo, żąda od

zawodniczki, obok doskonałej znajomości maszyny, także wiele zimnej krwi, bystrej orjentacji i błyskawicznego refleksu. Niespodziana przeszkoda, defekt w motorze, wyprzedzanie i mijanie, wszystko tu musi być znakomicie opanowane, zsynchronizowane z odruchem nogi i ręki.

Jazda autem rozwija w kobiecie samodzielność, fantazję i odwagę. Kobiety naogół lubią się hazardować szybkością, mają, jako bardziej wrażliwe od mężczyzn daleko żywszy refleks, czasem jednakże i niestety nierzadko, braknie im w ważnej chwili przytomności umysłu, decydującej przecież o życiu. Są automobilistki, które w niebezpieczeństwie puszczaają kierownicę, aby z histerycznym krzykiem zasłonić sobie oczy. Z takim usposobieniem nie wolno siadać przy sterze, do jazdy brać się mogą tylko jednostki obdarzone odpowiednimi kwalifikacjami. Obok przytomności umysłu niezbędna jest dla automobilistki siła fizyczna, bądź dla utrzymania wozu na złej czy śliskiej drodze, bądź dla dokonania szeregu uciążliwych nieraz reparacji, jakie się w każdej wyprawie przydarzyć mogą. W aucie zawsze coś niedomaga: a to w motorze stuk, a to kicha nawaliła. Trzeba zmienić koło, nieraz nawet wleźć pod auto i usmarować ręce. Długotrwała jazda wyczerpuje ciało, prowadzenie zaś w nocy wymaga od-



Na wystawie automobilowej w Paryżu kobiety demonstrowały publiczności sposób posługiwania się samochodami najnowszych typów.

porności na bezsenność i halucynacje. Jeżdżenie po mieście zdziera nerwy. Z tem wszystkim trzeba się liczyć, gdy się marzy o szoferowaniu. Sztuka prowadzenia teoretycznie sprowadza się do zapalania motoru, ruszania z miejsca, trybowej zmiany szbkości i posługiwania się hamulcami. Praktycznie jest to zastosowanie całej, skomplikowanej wiedzy technicznej, obejmującej dokładną znajomość motoru, orientację w defektach i ich prowizorycznej choćby naprawę, jak również umiejętność oszczędzania maszyny. I dlatego na kobietę jeżdżącą zupełnie samodzielnie patrzeć należy z szacunkiem.

Do jazdy zawodniczej, jaką np. uprawia nasza dzielna automobilistka p. Koźmianowa, mogą się brać tylko wyjątkowe jednostki. W raidach międzynarodowych potrzeba ducha sportowego, prawdziwej ambicji, zacieklej woli zwycięstwa, nieraz wręcz abnegacji i poświęcenia. To też dla kobiet najstosowniejszym tempem konkurencji sportowej w automobilizmie są ostatnio tak rozpowszechnione rallye's: jazdy gwiazdowe. Są one doskonałym sprawdzianem praktycznej umiejętności jazdy w warunkach turystycznych. Zawierają mniej elementów brutalnej walki konkurencyjnej, stanowiącej zarówno duże ryzyko dla kierowcy jak dla maszyny, gdyż decyduje tutaj jedynie regularność jazdy i umiejętność pokonywania grząskich dróg bocznych.

Jednym z napolarniejszych w

Europie, największych i najbardziej trudnych takich zjazdów jest do-
roczny Rallye do Monte Carlo, ob-
sadzony bardzo licznie przez kobie-
ty. Mniejszy jest procent pań w
różnych niezliczonych „Grand Prix”
i „Coupe d'Or” zagranicy: Francji,
Italji, Niemiec, Belgji i Szwajcarji.
Tem wspanialej błyszczy gwiazda
dzielnej Polki p. Koźmianowej, któ-
ra na swojej nieśmiertelnej Bugatti
szeregiem sukcesów zainteresowała
prasę całej Europy. Wyniki jej są
chlubą polskiego automobilizmu, o
którym poza pierwszym miejscem
Jana Rippera na Semmeringu, po-
zatem w Europie głucho. Pani Ko-
źmianowa bierze czynny udział w
całym szeregu najpoważniejszych
impres samochodowych. Po wspa-
niałym sukcesie w Linthal, zdoby-
wa ona I i II nagrodę w swojej ka-
tegorji w Eymoutier, zajmuje III
miejsce za Ripperem na Semmerin-
gu, bijąc rekord kobiecy tego toru,
pozaatem uczestniczy w największym
wyścigu górkim w Klausen i w
„Grand Prix” Szwajcarji wraz z
najtęższymi asami automobilizmu.

Poza temi dwoma nazwiskami o
polskich automobilistach na arenie
międzynarodowej nie słyhać.

Czyżby nam brak było talentów,
zapału, fantazji, któremi w innych.
pokrewnych dziedzinach, jak lot-
nictwo, imponujemy światu? By-
najmniej. Poprostu, żeby zwyciężyć,
trzeba doskonałych maszyn. Tego
u nas niema. Zubożenie warstw po-
siadających, straszliwe cła na samo-
chody plus nikły kilometraż do-
brych dróg, no i wiele innych skom-

HEZABLOND

HENRYK-ZAK
POZNAN

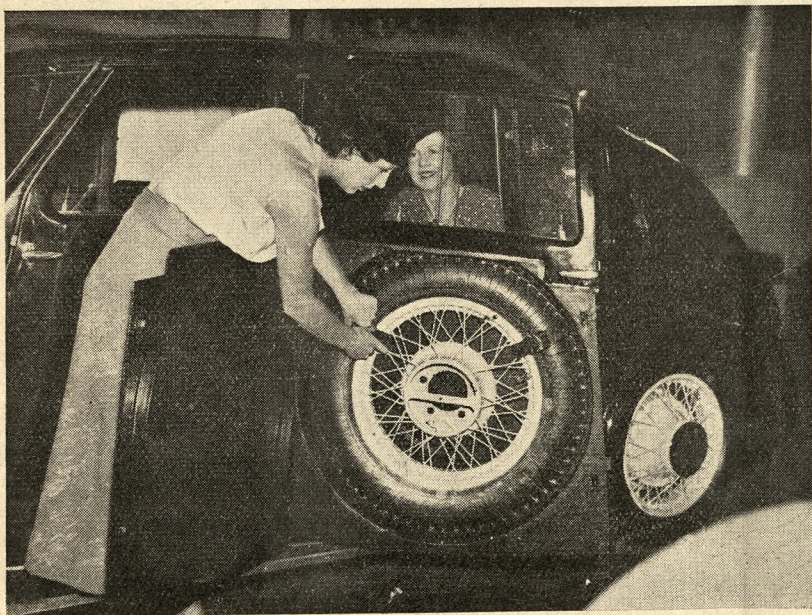
niezrównany
środek
do pielęgnowania
głowy
nadaje włosom
niekny złocisty odcień



plikowanych przyczyn sprawiają,
że sport samochodowy w Polsce
znajduje się w stanie zaniku. O u-
masowieniu go, o wyłonieniu talen-
tów mowy niema. Skończyły się
większe, międzynarodowe imprezy
A. P., życie klubów polskich za-
miera. Poprzestaje się na zjazdach
gwiazdowych i różnych konkur-
sach, noszących raczej charakter
zabaw towarzyskich, niż sporto-
wy o wyższym poziomie. Jeśli nie
możemy mówić o sporcie samocho-
dowym Polski w ogólności, to tem
mniej mamy do powiedzenia o auto-
mobilizmie kobiecym. W zaintere-
sowaniach naszych musimy narazie
poprzestać na tem, co się dzieje za-
granicą. I możemy tylko zazdrościć.

Po chwilowym kryzysie, produk-
cja samochodów znowuż się wzma-
ga. Sama Ameryka wypuszcza roc-
nie 2.100.000 aut. Na całym świecie
rozrasta się potężnie sieć idealnych
szos i autostrad, pozwalających na
normalną szybkość 150 klm/g. Do
wyścigu prac drogowych stanęły z
olbrzymimi kapitałami Niemcy,
Francja, Italja i Szwajcarja, nie
mówiąc już o Sowietach, których
gigantyczny projekt 400 kilometro-
wej, 12 motorowej (150 m. szer.)
autostrady zaćmi legendę amerykań-
skich 8-o torowych poematów dro-
gowych. Iluminacja nocna (Lampy
sodowe), pasy światła i zieleni, naj-
nowsze materiały na nawierzchnie
(stal, kauczuk), wystudjowane łuki
i pochyłości, jednym słowem wszyst-
ko, cokolwiek umysł ludzki jest w
stanie wymyślić najdoskonalszego,
znajduje tu zastosowanie w służbie
demona szybkości.

Świat ogarnął szal pędu. Świad-
czy o tem wzrastające wciąż powo-
dzenie międzynarodowych wyści-
gów. Podobnie jak i w innych dzie-
dzinach sportu, tak i w tej różne
Grand Prix i t. p. imprezy stają
się współzawodnictwem narodów.



Prądzirova sportsmenka sama daje sobie radę ze swoim autem.

Z tego punktu widzenia tembardziej musimy cenić sukcesy naszej dzielnej rodaczki. Zwycięstwa swoich marek samochodowych uważają kraje za sprawę narodowego prestiżu. Walka konkurencyjna maszyn do znudzenia obraca się koło Mercedesa, Alfa Romeo, Bugatti i ostatniej tryumfatorce Maserati.

Umiejętność kierowców i szybkość maszyn wzrasta razem z liczbą ofiar. Od paru lat prasę zapelnia garść tych samych nazwisk w różnej kolejki losu. Ci zawodnicy-zawodowcy są świetnie, imponująco wytrenowani. Dziś pobili rekord, jutro pogruchotane ich kości wynoszą spod dymiącej maszyny, a na miejscu takiej bezpożytecznej dla społeczeństwa ofiary zasiada przy sterze inny szaleniec, aby rozpocząć od nowa igraszki ze śmiercią. Ilość ofiar jest zastraszająca. 150-tysięczne tłumy, ogarnięte psychozą, za-

legają szczególnie trybuny, obstawiają trasę wyścigu, a zawodnicy, znęcani sławą i pokusą olbrzymich stawek walczą o ułamki sekundy. Szybkość takiej jazdy waha się około 300 klm. na godzinę. Nazwiska? Znamy je wszyscy. Prasa szeroko się o nich rozpisuje: Caracciola, Nuvolari, Varzi, von Stuck, Chiron, Trossi, Fagioli, Etancelin...

Manja rekordów święci coraz to nowe tryumfy: w ostatnim roku padły wszystkie absolutnie wyniki światowe. A już zawodowy rekordman Campbell na swym „Blue Birzie” szykuje się do ataku na nową, fantastyczną szybkość (1 klm.) 481,902 na dnie wyschniętego jeziora Lake City. Zeszłoroczny rekord wynosił 437,908 km/g.!

Campbell jest najszybszym automobilistą świata.

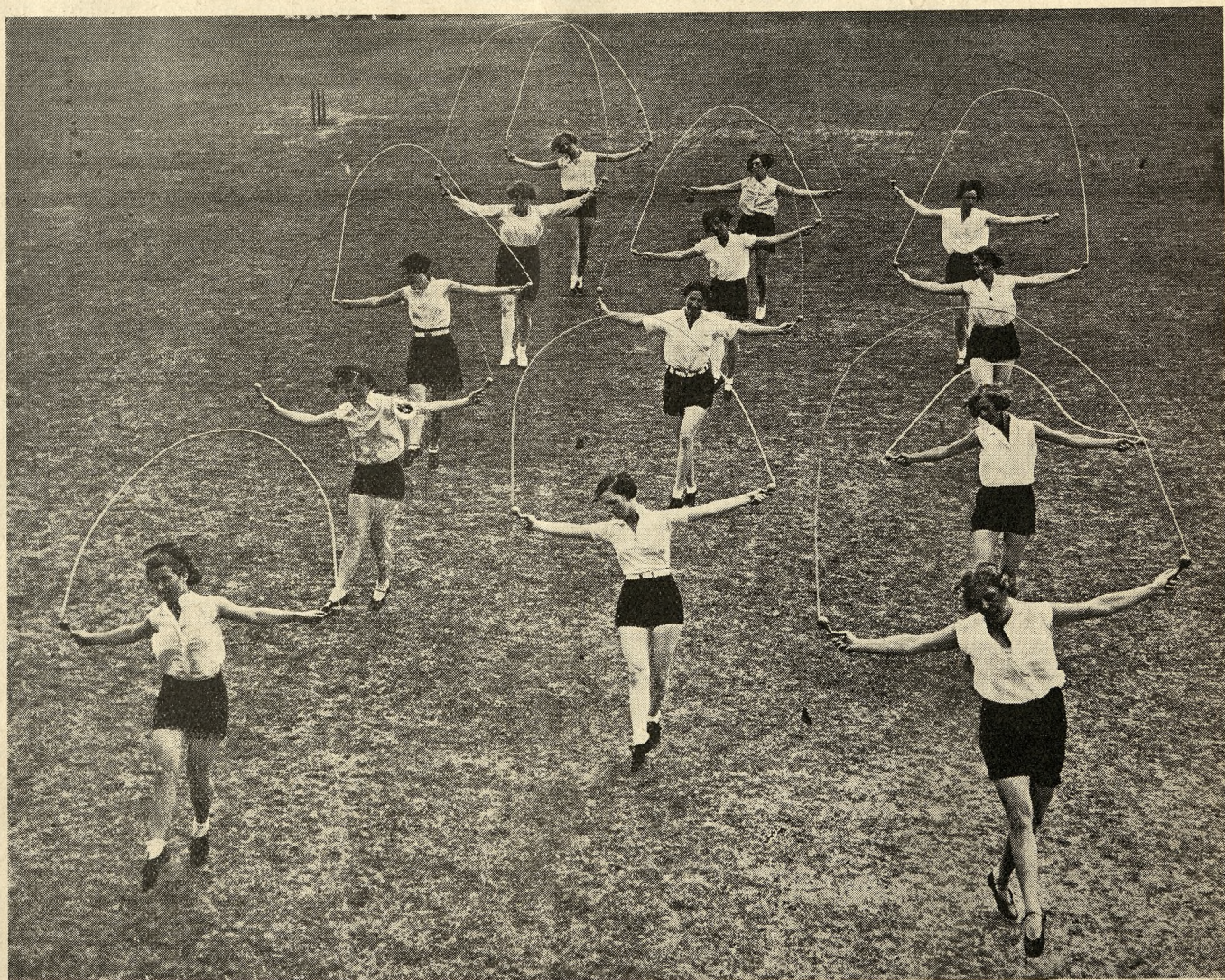
Za najszybszą kobietę uznano panią Stewart, która za sterem swojej

Derby uzyskała przeciętną 237,845 km/g. Jest to szybkość największa jaką uzyskano kiedykolwiek na autodromie! Sukces ten o mało co nie zakończył się katastrofą. Najmniejszy przecież defekt w takich razach sprowadza się do tragedji.

Abstrahując od racjonalności i, że tak powiem, moralności podobnych wyczynów, musimy schylić czoła przed odwagą i sprawnością mózgu tej niezwyklej kobiety. Imponująca jest ta namiętność hazardu, gdzie stawką jest życie! Pani Stewart swoim rekordem złożyła chlubne świadectwo kobiecym możliwościom, stawiającym niewiastę na równym poziomie z „panami stworzenia”.

Nietylko w automobilizmie i lotnictwie, nietylko w różnych sportach, ale i w szeregu innych dziedzin życia zjawiają się w ostatnich czasach coraz liczniejsze rekordzistki, przyczyniając się nieodwołalnie do likwidacji legendy o „płci słabszej”.

Irena Pawska.



Dziecinna skakanka jest doskonałą towarzyszką ćwiczeń, wyrabiających zręczność i lekkość ruchów.

KOZIOŁEK MATOŁEK w teatrzyku u B-ci Jabłkowskich

We wtorek nastąpi otwarcie teatrzyku dla dzieci na 6-em piętrze u Braci Jabłkowskich. Główną rolę gra popularny Koziołek Matołek. Przeżywa on liczne przygody, spotyka się na księżycu z panem Twardowskim, w głębiach morza rozmawia z królem wodnym, wstępuje do Afryki, aby wreszcie po wielu trudach dotrzeć do magazynu Braci Jabłkowskich. Ciekawa treść i śliczne dekoracje zachwycają z pewnością małych widzów. Szczegółowe sprawozdania z teatrzyku ukażą się w najbliższych dniach. Teatrzyk otwarty będzie od 3½ do 6-e popołudniu. Wstęp bezpłatny.

WALKA MACIERZY SZKOLNEJ Z ANALFABETYZMEM

Na drodze mocarstwowej Polski leży kłoda w postaci 6 milionów dorosłych analfabetów książkowych; można ją usunąć tylko wielkim wysiłkiem zbiorowym wszystkich stowarzyszeń społecznych.

Polska Macierz Szkolna wystąpiła do stowarzyszeń społecznych z inicjatywą wprowadzenia jako formy oświatowo-kulturalnej pracy członków, nauczania indywidualnego analfabetów, pod hasłem: „każdy światły Polak — żołnierzem oświatowym; umiejący czytać — uczy jednego nieumiejącego”.

Inicjatywa ta została już przyjęta przez szereg najpoważniejszych organizacji, liczących razem ponad 900,000 członków, między innymi przez Akcję Katolicką, Harcerstwo, Organizację Młodzieży Pracującej, Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży, Wołyński Związek Młodzieży Wiejskiej, Związek Obywatelskiej Pracy Kobiet, Związek Towarzystw Gimnastycznych „Sokół” w Polsce, Związek Obrony Kresów Zachodnich, Towarzystwo Czytelni Ludowych, Towarzystwo Gniazd Sierocych, Ligę Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, Macierz Szkolną w Polsce i Gdańsku, Federację Polskich Związków Obrońców Ojczyzny i t. d., które rozpoczęły werbunek członków nauczających.

Propagandy tej idei walki z analfabetyzmem, w związku z pierwszym „Miesiącem likwidacji analfabetyzmu książkowego” w listopadzie r. b. podjął się Polski Związek Wydawców Dzienników i Czołpism.

Wielką korzyść przyniosłaby tej idei propaganda myśli: pani domu winna nauczyć czytać swoją służącą (pracownicę domową), której powierza opiekę nad swoim mieniem i zdrowiem swoich najbliższych. Gdyby ta idea znalazła skuteczny oddźwięk, to w ciągu niedługiego czasu odsetek analfabetów w samej stolicy, wynoszący obecnie około 200.000 głów, znacznieby się zmniejszył.

Zwycięska para z Poznania

Jak wiadomo główna wygrana pierwszej klasy obecnej loterii padła w Poznaniu. Poniżej podajemy fotografie szczęśliwych triumfatorek.



P. Korzybska, pracująca w jednym z magazynów mód w Poznaniu.



P. Nowaczykówna, ekspedjentka w poznańskim magazynie blawatnym.

„DUBY SMALONE”

tak się nazywa niedzielny dodatek satyryczny, który od najbliższej niedzieli wprowadza

„KURJER PORANNY”

„DUBY SMALONE” — laboratorium śmiechu
„DUBY SMALONE” — obserwatorium humoru
„DUBY SMALONE” — prosekutorjum głupstwa,
dętolu ———— świństwa ———— i snobizmów

Redakcję nowego działu obejmie znakomita artystka i doskonała znawczyni humoru

MIRA ZIMIŃSKA

która potysiącrotnie rozbieszała nas do łez i rozrzewniała do rozpuku, odtwarzając i współtworząc słowa, gesty i głosy swych niezapomnianych arcywesołych, przesyconych komizmem kreacji z sławnego dawnego „Qui Pro Quo”, „Cyganerji”, „Bandy” i t. d., i t. d., i t. d., i t. d. Poraz pierwszy w charakterze redaktora Mira Zimińska wystąpi w najbliższą niedzielę. Sztab jej współpracowników stanowić będą znani i doskonali humoryści i satyrycy z t. z. grupy „Cyrulika” T. Breza, S. Karpiński, A. M. Swinarski. „Tadzio-Tadzio”, „Mecenas Wacusz” i inni, oraz wyborni karykaturzyści: F. Topolski i J. Zaruba.

Pamiętajcie: MIRA ZIMIŃSKA

— „KURJER PORANNY” —
— W KAŻDĄ NIEDZIELĘ —

„DUBY SMALONE”

Wojew. Lubelskie liczy
mieszkańców **2.467.000**
Wojew. Wołyńskie liczy
mieszkańców **2.085.000**

Razem **4.552.000**

LICZNYCH KLIJENTÓW

zyskują na wielkim obszarze tych
Województw przedsiębiorstwa po-
mieszczające ogłoszenia w dzienniku

„EXPRESS LUBELSKI

I WOŁYŃSKI“

Najwyższy nakład na terenie Województw:
Lubelskiego i Wołyńskiego.

XII-ty rok wydawnictwa.

Egzemplarze okazowe, prospekty, szczegółowe ofer-
ty i plany kampanii ogłoszeniowych, opinie do-
tychczasowych inserentów, odwiedziny akwizy-
torów, na każde żądanie.

Adres wydawnictwa: Lublin, Kościuszki 8, telefon 360.
Informacje w Warszawie przez telefon 9-28-82.

„TYDZIEŃ POLSKIEGO BIAŁEGO KRZYŻA“.

W dniach od 5-go do 12-go listopada b. r. odbędzie się „Tydzień“ propagandy na rzecz Polskiego Białego Krzyża, jedynej Instytucji społecznej w Polsce, która podjęła oświatę i wychowanie obywatelskie żołnierza. Całe społeczeństwo polskie usłyszy w tym „Tygodniu“ odczyty i pogadanki nadawane przez radio oraz z prasy z artykułów zaznajomią się z ideologią i działalnością P. B. K., którego Wysokim Protektorem jest pierwszy Marszałek Polski, Józef Piłsudski.

Spółeczeństwo jak zawsze z całą gotowością pośpieszy zasilić fundusze Polskiego Białego Krzyża przez nabywanie nalepek, zetonów, znaczków i mareczek. Sumy, które wpłyną w tych dniach, będą najlepszym dowodem, że społeczeństwo daży żołnierza życzliwością, dba o niego i o nim pamięta.

Komitet Honorowy w Warszawie objął raczyli: PP. Ministrowa Wacławowa Jądrzejewiczowa, Ksiądz Prf. dr. Bronisław Żongolłowicz Vice Minister Oświaty, Generał Tadeusz Kasprzycki I Vice Minister Spraw Wojskowych, Generał Czesław Januszkiewicz Dowódca O. K. I.

Komitet czynny na czele którego stanęła p. Wanda Orlicz - Dreszerowa przygotowuje cały szereg imprez i organizuje zbiórki w restauracjach, kinach i teatrach. Dochód z biletów na Rewję w dniu 11-go listopada jest również przeznaczony na oświatę żołnierza.

„Tydzień“ pod hasłem: „Daj grosz na oświatę dla żołnierza“ uprzytomni społeczeństwu, że trzeba i w dniach pokoju pa-

miętać o tych, którzy są obrońcami Ojczyzny, są naszą dumą i siłą.

Kącik radiowy

JAK PRACUJEMY W POLSCE?

Do inowacyj wprowadzonych do programów radiowych należą codzienne audycje pięciominutowe, o godz. 20.55 mające na celu zaznajomienie radiosłuchaczy z pracą w Polsce (w dziedzinie społecznej, kulturalnej, z zagadnieniami związanymi



Kapitan Władysław Dobrowolski, który prowadzi lekcje porannej gimnastyki przez radio.

z pracą w poszczególnych zawodach). Chodzi o to, aby szeroki ogół dowiedział się nie tylko o tem, co się dzieje na jego najbliższym terenie, ale także o tem, jak się pracuje w całej Polsce. Na ogół nie docenia się tego ogromu pracy, która się wykonywa-
nie. Jeszcze z innych względów wiadomości takie mogą być pożądane, gdyż spowodować i pobudzić mogą inicjatywę w innej miejscowości, w innym środowisku. Jeżeli chodzi o podejście do samych tematów, podkreślane są nie tylko cechy dodatnie, zajmowane jest również stanowisko krytyczne w stosunku do niektórych objawów życia współczesnego, jak również wysuwane są postulaty dotyczące bezpieczeństwa i ochrony pracy. W ramach tej audycji przewidywane są również cykle satyryczno-obyczajowe, związane z zagadnieniami pracy np. cykl „o złych i dobrych obyczajach w pracy społecznej, handlu, urzędach etc.“.

TRZY RÓŻNE SPOSOBY ZAPOWIADANIA PROGRAMU RADJOWEGO.

Dla ułatwienia słuchaczom orientacji w programie radiowym speakerzy zapowiadają dwa razy dziennie wszystkie poszczególne audycje, podając dokładne godziny, autorów, wykonawców, reżyserów i t. p. W czasie audycji porannej zapowiada się cały program na dzień bieżący, zaś w godzinach wieczornych o godz. 19.45 podaje się program na dzień następny.

Radjосłuchacze często narzekali na zbyt suchy i mało urozmaicony sposób zapowiadania programów radiowych. Zadanie było istotnie trudne, jeśli się zważy, że program musiał być omówiony ściśle i wyczerpująco, że przeważnie speakerzy nie chcąc zmieniać ustalonego porządku audycji, nie dodawali niczego od siebie do ustalonego, a z natury rzeczy suchego, tekstu.

Obecnie Polskie Radio tytułem próby wprowadziło w godzinach porannych zapowiedź programu radiowego na dzień bieżący ze Lwowa. Zapowiedź ta odbiegała od szablonowego typu dotychczasowych zapowiedzi. W najbliższym czasie w sposobie zapowiadania programu radiowego zajdą dalsze zmiany. Radio postanowiło odczytywać codziennie wieczorem program na dzień następny w formie dotychczasowej, a więc w porządku chronologicznym, z podaniem dokładnych godzin i minut. Natomiast codziennie rano program radiowy na dzień bieżący będzie ogłaszany w formie rzeczowej, to znaczy audycje grupowane będą w pewne całości, aby dać możliwość łatwego przeglądu tym ludziom, którzy specjalnie interesują się jakimiś zagadnieniami. Ta forma zapowiadania programu eliminując różne stale powtarzające się drobiazgi w audycjach radiowych, pozwoli słuchaczom wyłowić rzeczy ważne i istotnie ciekawe.

Trzecim sposobem zapowiadania programu radiowego będzie „Wesoła zapowiedź programu“, którą nada Lwów w każdą niedzielę. Tu zapewne będzie już mniej chronologii, mniej systematyki, a dużo wesołości i humoru. A to słuchacze przecież lubią.

Przegląd prasy

„Express Poranny” zamieszcza interesujący artykuł o Frances Perkins, ministrze pracy w U. S. A.

Pani Perkins (z męża Paul Wilson) mimo wysokiego stanowiska, mało dostępna jest dla uszu i oczu ciekawego ogółu. Broni ona swego prywatnego życia przed „cudziemi nosami” — jak sama się wyraża. To też mało co wie Ameryka o pani Paul Wilson, żonie inżyniera i matce dorodnej córeczki, niepomierne zaś popularniejsza jest miss Perkins, pierwsza kobieta - minister w dziejach Stanów, choć obie są jedną i tą samą osobą.

Gdy w lutym 1933 r., Roosevelt ogłosił o swym zamiarze powierzenia teki ministra pracy, kobiecie, wszyscy politycy, zarówno przeciwnicy jak przyjaciele, zwątpili o trzeźwości prezydenta.

Roosevelt nie zmienił jednak swej decyzji:

— Dajcie jej parę tygodni czasu. Znam ją od 30 lat. Pracowała przy mnie, gdy byłem senatorem i gubernatorem New-Yorku. Przekonacie się: to nie jest przeciętna kobieta.

W czasie, gdy pani Perkins składała egzamin sprawności i swej nieprzeciętności, sytuacja kryzysowa pogłębiała się z godziny na godzinę. Kraj stał w obliczu katastrofy. Bezrobotni (14 milionów) wylegli na ulicę, Rolnictwo było zrujnowane. Bank za bankiem chwiały się i padały.

W tej atmosferze paniki, nowy minister pracy bezgłośnie, jak w Ameryce mówią o zaniedbaniu reklamy, zainstalowała się w swym biurze na 7 piętrze i, przystąpiła do pracy.

Rychło odczuł świat pracy i ogół, obecność jakiejś tajemnej siły, zdecydowanej choć nie brutalnej. Rychło musiała Ameryka przyznać, że „dama w trójrożku”, jak nazywają panią Perkins spowodu jej charakterystycznego kapelusza, ma walory wielkiego ministra.

120 milionów Amerykan przesycanych niewiarą i beznadziejnością, nabrało zaufania do skromnej postaci p. Perkins taktownej i uprzejmej, która na naradach rządowych odpięła zarzuty niezbitą argumentacją i rzeczowymi dowodami cyfr, która zarówno latem jak i zimą pracuje 12 godzin dziennie, rozstrzyga o najbardziej zawitych problemach i podejmuje śmiało, ważne dla całego narodu decyzje.

Dziś miss Perkins cieszy się zaufaniem 40 milionów robotników, syndykatów, związków, unij, komitetów.

Dziś, sytuacja pani Perkins jest wyjątkowa, jedyna w swym rodzaju, jej wpływ są olbrzymie. Odniosła zwycięstwo nad byłym szefem N. R. A. (narodowy urząd odbudowy), gen. Johnsonem, który chciał potraktować amerykański proletariąt jak... dywizję dragonów i w rezultacie ubiegły rok był burzliwym rokiem strajków i rozruchów.

Dawid w spódnicy zwyciężył Goljata w generalskim stroju. Drogi, którą zamierza kroczyć miss Perkins, nie zagrażają już

teraz niefortunne gaffy porywczego generała Johnsona.

Pierwsza faza w dziejach N. R. A. skończyła się dnia 15 października z dymisją Johnsona. Pani Perkins wyszła z tego burzliwego okresu z nienaruszonym autorytetem i prestiżem. Obecnie jest ona jako minister pracy i członek 5-osobowego komitetu rządzącego N. R. A., czołową postacią na amerykańskim froncie zmagania się z kryzysem.

Kobieta w „Domu Pracy Przymusowej” w Orszewie.

W „Kurjerze Porannym” z dn. 15.X. znajduje się reportaż p. t. „Praca — to też zajęcie”, w którym autor tak pisze o pracy kobiet:

Orszew to dom pracy przymusowej dla żebraków i włóczęgów. To tymczasowa przystań dla ludzi, którzy albo nie umieją, albo nie chcą, albo nie mają gdzie pracować. Pobyt w domu poprawczym ma przedewszystkiem na celu nauczanie tych wszystkich pracy. W domu tym każdy musi coś robić.

W wysokim, czerwonym płocie wmurowana jest niewielka, marmurowa tablica z napisem: „Warszawski Wojewódzki Międzykomunalny Związek Opieki Społecznej — Dom Pracy Przymusowej w Orszewie”.

Za murem wyrasta biały, dwupiętrowy budynek. Wokoło i jak sięgnąć okiem, rozciąga się płaszczyna ogrodu i pola. Gdyby nie kraty w oknach, przegradzające dział męski od kobiecego, siatki druciane, druty kolczaste, Orszew sprawiałby wrażenie dobrze zagospodarowanego folwarku.

Sześć hektarów uprawnej ziemi wykorzystano pod wszelkiego rodzaju warzywa i drzewa owocowe, zarybiono staw, zaprowadzono hodowlę rasowych kur i królików. Stworzono nie tylko pole do pracy dla internowanych, czy samowystarczalny ośrodek, lecz gospodarstwo, obliczone na otrzymywanie stałego dochodu.

Na podwórzu, w stajni, w oborze, mimo świątecznego dnia, kręci się wiele sylwetek w granatowych, płóciennych ubraniach. Młoda, krępej budowy kobieta z rozmachem ubija kartofle dla trzody. Zapytana, jak jej tu jest, odpowiada opryskliwie, nie przerywając pracy: — morderę się i tyle. — Opiekun osłów i koni, młody chłopak, z zakłopotanym uśmiechem zwierza się cichutko: — no, dobrze mi tu jest, ale chciałbym już jaknajprędzej do domu.

Malkontentów jest dużo, zwłaszcza wśród kobiet. Wyrwane z niedzielnej bezczynności, zrywają się ochoczo ze stołków w swych sypialniach. Zbliżają się, jedna przez drugą, opowiadając o sobie i utyskują. Stare, w średnim wieku i zupełnie młode, wszystkie jakieś zawzięte, buntujące się wewnątrz, rozszoszczone na swój los, na wyrok, na Orszew.

Z urywanych, kłębiących się słów wysuwają się ciągle te same: żeby choć trochę lepiej było, bo teraz to marnie.

Co marnie i co żeby było lepiej? Za-

krzykują wówczas już zgodnym, wielogłosowym chórem: życie niedobre, kawa czarna i gorzka! I potem kompromisowo — my nie chcemy za dobrze, my chcemy tylko znośnie.

Bezpośrednio, jakby dla przekonania się o prawdziwości ich słów idziemy do kuchni. Na tablicy, umieszczonej w widocznym miejscu, wypisano całodniowe, niedzielne „menu”. Śniadanie, kawa mleczna z cukrem, chleb ze szmalcem. Obiad, rosół z makaronem, sztuka mięsa z kartoflami. Kolacja, herbata i chleb ze szmalcem. Dla ciężiej pracujących dodatkowo porcja chleba ze szmalcem.

Trzeba oczywiście wszystkiego skosztować i wydać swą opinię. Żadna z potraw nie jest zła. Skąd wobec tego owe powszechne utyskiwania? Lecz suma trzydziestu groszy, przeznaczona na utrzymanie dziennej jednej osoby, też mówi za siebie.

Idziemy dalej, zaglądając do sypialni. Wszędzie wyskakują ku nam kobiety. Kiedy mówię z niemi o pracy, nie słyszę już żalów, czy narzekania.

— Robić trza wszędzie — odpowiada brzydka, o dziobatej twarzy dziewczyna.

— Nam się przykrzy, to każda z nas jest dobrą pracownicą — dorzuca stara, bezzębna kobieta.

A kierownik stwierdził, że każdy, kto się zjawia w Orszewie nie przyznaje się z początku do żadnych umiejętności i żadnego zawodu. Dopiero później z wielką chęcią zabiera się do pracy.

Przy którychś tam skolei drzwiach przypada do nas młoda, zapłakana kobieta.

— Tak mi tęskno za dzieckiem, takbym już je chciała zobaczyć!

Sprawa dzieci jest tu napeczniałym wrzodem. Każda z młodych, która ma dzieci, tęskni do nich. Lecz zakład nie jest przystosowany do internowania kobiet wraz z potomstwem. Wyjątek tylko stanowią niemowlęta, dla których przygotowano żłobek. Znajdą tu pomieszczenie oseski, o których lekarz orzeknie, że nie można ich odłączać od matki.

Kobiety w fabryce „Peltzery” w Częstochowie.

W „Robotniku” znajduje się reportaż z okupowanej przez robotników fabryce „Peltzery”. Do strajkujących należą również kobiety. Autor opisuje warunki w jakich się znajdują:

„W sortowni wełny leżą olbrzymie stosy surowca skrepowane płótnem workowym. W powietrzu unosi się kwaśny zapach, który kłuje w oczy, drapie w gardło. W wielkiej hali, rozłożona wełna. To „sypialnia” strajkujących kobiet.

Z kątów hali, zza stosów wełny wynurzają się postacie kobiet. Pusta przed chwilą sala ożywia się i wypełnia ludźmi. Przeważają kobiety. Są wśród nich dziewczyny 18-letnie i 68-letnie starszuszki.

Pytam jedną z nich: wiele pani ma lat? — Sześćdziesiąt osiem.

— A jak dawno robi pani w fabryce?
— Od czterdziestu sześciu lat.
— Wiele paraf zarabiała przed strajkiem?
— 4 zł. 30 gr., pada odpowiedź. Robiłam trzy dni na tydzień.

Nie wszędzie robotnice i robotnicy śpią na workach z wełny. W przygotowni, za posłanie służą gołe deski, lub poprostu dno paki.

Oprowadzające mnie kobiety z humorem opisują swój pobyt w fabryce, tym hotelu nędzy częstochowskiej.

Gdzie się tylko ruszę, wszędzie spotykam posłania. W przedzalni, skrucarni, wykończalni i pakowni, pełno posłań. Niektórzy ze strajkujących zawiesili między maszynami hamaki, sporządzone z worków.

W pakowni pokazują mi kobiety szerokie dość posłanie, pokryte czystym papierem, obok stoi kołyska, zrobiona z koszyka.

— A co to? — pytam.

— A widzicie — mówi jedna z towarzyszek — jest między nami jedna, co spodziewa się dziecka.

— Gdzież ona jest? — pytam.

— O! tu stoi. Z grona kobiet, wychodzi kobieta w średnim wieku. Jest to Stanisława Olszewska. Lada dzień spodziewa się rozwiązania. Urodzi trzecie dziecko.

— No, pani chyba pójdzie do szpitala odbyć półóg?

— Właśnie, że nie. Wszystko mam przygotowane już. Urodzę tu dziecko i nie pozwolę się odłączyć od moich towarzyszy, z którymi strajkuję od 7-miu tygodni. Wyjdę stąd wtedy, gdy wyjdą wszyscy. Sama nie pójdę. Nie pójdę...

W Nr. 41 Tyg. Ilustr. w art. p. t. „Kobiety - artystki” spotykamy wzmiankę o Rosalbie Karriera, jednej z pierwszych kobiecych pionerek w dziedzinie sztuk pięknych.

Wenecjanka Rosalba Carriera (1675 — 1757), uczyniła to potrosze przypadkowo. Matka jej zajmowała się tradycyjnym w Wenecji rzemiosłem, mianowicie wyrobem koronek. Za owych dobrych dla sztuki czasów wymagane było, żeby każdy garnitur koronkowy, służący do przybrania stroju, wykonany był według innego, oryginalnego rysunku. Ponieważ Rosalba miała od dzieciństwa zręczność i gust do rysunku, przeto dla zaoszczędzenia matce wydatku na rysownika, wzięła się do projektowania wzorów. Miały one ogromne powodzenie. Zachęciło ją to i ośmieliło; kiedy więc w modę weszła tabaka, a z nią razem — malowane tabakierki, panią przerwuciła się na ten nowy, a intratny rodzaj artystycznych robótek. Po minjaturach zdobionych tabakierkach przyszły samodzielne minjatury, cieszące się również ogromnym powodzeniem, a wreszcie — pastelowe portrety. One to pozyskały artystce wszechświatową sławę. Były warte w rysunku i dosyć byle jakie w układzie, ale miały wdzięk i subtelność barw, dobiera-

nych i układanych ze specyficznym kobiecym gustem; że zaś wdzięk i subtelność, kobiecość i dobry gust były w XVIII-tym stuleciu wysoko cenione, przeto pastele Rosalby robiły furorę. Do ich powodzenia przyczyniła się zresztą również fenomenalność zjawiska: podziwiano „cudowną kobietę”, tak, jak temu lat kilkadziesiąt podziwiano „cudowne dzieci”. Wenecja stała się dla niej krótko za mała; Carriera przeniosła się do Paryża, gdzie została zaliczona w poczet członków Akademii; bawiła potem w Wiedniu, gdzie sama cesarzowa Marja Teresa pragnęła zostać jej uczennicą; ku końcowi zaś długiego żywota wróciła do rodzinnej Wenecji, gdzie zmarła, syta lat i sławy, wykształciwszy spory zastęp uczennic.

W Nr. 42 Świata pojawił się art. p. t. „Król mody w łachmanach”. Jest to artykuł o byłym „Królu Mody”, Paul’u Poiret. Obecnie Paul Poiret znalazł się w nędzy. Stołuje się w jadłodajni dobroczynnej, i jako bezrobotny, pobiera 10 fr. dziennie zasiłku.

Kim był Poiret jako twórca mody, wie każda kobieta. Ale kto nie mieszkał przed wojną w Paryżu, nie ma nawet pojęcia, jaką rolę odgrywał tam wówczas ten człowiek, który z wyżyn tronu Mody spadł dziś do roli nędzarza i jak zaczął się jego zmierzch, dowiadujemy się z jego wspomnień, wydanych w ciekawej książce: „En habillant l’époque”.

Poniżej przytoczona anegdota, świadczy, że Poiret’owi nie imponowały zbyt tytuły i pieniądze jego niejednokrotnie koronowanych klientek.

Miał raz przeprawę ze swą najbogatszą klientką, baronową Rotszyld. Na życzenie jej zgodził się posłać kilka swych modelek wraz z sukniemi dla zademonstrowania ich w pałacu Rotszyldów. Panny wróciły oburzone, gdyż baronowa wobec gości wyśmiała modele Poireta. Gdy w kilka dni potem przybyła osobiście do magazynu na rewję modeli, Poiret grzecznie ale stanowczo poprosił ją o opuszczenie salonu — „wobec tego, że suknie moje nie mają szczęścia podobać się pani” — jak objaśnił.

Miljonerka zrobiła awanturę — jednak wyszła.

Nazajutrz zjawił się w gabinecie szefa administratora firmy Poiret — przerażony: „Proszę pana, baron Rotszyld przyjechał i chce się z panem widzieć”.

Poiret spokojny i zaciekawiony przeszedł do salonu. Rotszyld zapytał uprzejmie:

— „To pan wczoraj wyrzucił za drzwi moją żonę?”

— Tak jest, proszę pana.

— „To pan właściwie dobrze zrobił. Dawno jej się to należało”. Tu baron z melancholią uściśnął dłoń odważnego krawca. — „Powie panu, że znam pewną młodą osobę, która oddawna marzy o tem, aby zostać pana klientką. A jeśli się to

dotąd nie stało, to tylko dlatego, że nie miała ochoty spotkać się u pana z baronową Rotszyld. Teraz już tej przeszkody niema”.

Nazajutrz zjawiła się u Poireta jedna z najpiękniejszych kobiet Paryża, przyjaciółka Rotszylda, zamówiła kilkanaście sukien i przez długie lata pozostała jego najwierniejszą klientką.

„Czego nie pokazuje się w Z. S. R. R., pod tym tytułem drukuje I. K. C. szereg artykułów o prawdziwym obliczu „Sowieckiego raj”, pisanych według relacji Józefa Engla, polskiego komunisty, który uwiedziony propagandą i zagrożony więzieniem wyjechał do Z. S. R. R. i po trzyletnim tam pobycie uciekł do Polski.

Podajemy tutaj dwa ustępy: pierwszy o propagandzie bezbożnictwa, drugi o położeniu kobiety.

— A młodzież? — przerywam opowiadanie. — Przecież młodzież wychowana już jest w duchu nowych zasad bez wiary.

— Nie umiem tego panu wytłumaczyć, — odpowiada p. Engiel — jak to się dzieje, ale młodzież, mimo wszystko jest religijna. Zauważyłem, że chłopcy 18-letni, a więc powojenni, żegnają się nabożnie przed rozpoczęciem pracy.

Naród rosyjski jest wierzący i pobożny. W braku cerkwi, zajętych na kluby komunistyczne, oraz księży siedzących w więzieniach, wierni sami organizują nielegalne stowarzyszenia religijne, modlą się i odprawiają wspólne nabożeństwa zakonspirowane, często uchodzące przed czujnością donosicieli”.

dalej autor opowiada nam o istotnym położeniu kobiet w Sowietach.

— Kobiety bywają nawet ładne, ale bardzo krótko, bo niszczy je praca nad siły. W kopalni była młoda, 18-letnia dziewczyna, pracująca przy maszynie i zarabiająca 4 rb. dziennie. Wyglądała jak starszuszka. A wszakże poza robotą w fabryce, czy kopalni, muszą jeszcze pracować w domu. Śluby są zawierane łatwo, o rozwód też nietrudno. W Mandżurji poznałem 18-letnią Rosjankę, która zdążyła już sześć razy wyjść za mąż i rozwieść się, bo mężowie jej byli krasnoarmiejcami, a oddziały wojskowe wciąż zmieniano! Gdy męża za jakiegobądź przewinienia aresztują, żonę natychmiast wyrzucają z mieszkania. O, tam władze nie żartują! Nie mają litości, ani pobbłażania, ani okoliczności łagodzących... Nieraz czytałem, jak chwala się Sowiety, że prostytutka u nich nie istnieje. Zapewne, zniesiono reglamentację i domy publiczne, a nawet w zasadzie prostytutka jest karana. Tymczasem wieczorem na ulicach pełno jest kobiet, sprzedających się za marny grosz albo za jedzenie. W Tomsku jest uniwersytet na 20,000 uczących się. Przecież te studentki mrą głodem, a zarobić nie mogą inaczej, jak tylko sprzedając się. Ale tego nie mówi się i nie pokazuje cudzoziemcom...

Kobieta w świecie i w domu

IX ZJAZD POLSKIEGO STOWARZYSZENIA PIELĘGNIAREK.

Dn. 27.X w sali warsz. szkoły pielęgniarstwa rozpoczęły się obrady IX dorocznego zjazdu Stow. pielęgniarek, na który przybyło około 200 członkiń z całego kraju. Na otwarcie zjazdu przybyli przedstawiciele wydziału zdrowia ministerjum opieki społecznej i zarządu miasta, profesorowie i doktorzy.

Zagaiła zjazd. prezeska Stowarzyszenia, p. Sufczyńska, witając przybyłych gości i prosząc na przewodniczącego prof. dr. Wł. Szenajcha, który w przemówieniu swem podkreślił rozwój pielęgniarstwa w Polsce, podnoszenie się jego poziomu i zrozumienia najgłębszego sensu tego zawodu, jakim jest służba chorym, w której przejawia się kultura serca i duszy.

Referaty rozpoczął dr. Zajączkowski, dyrektor państwowego zakładu dla nerwowo wyczerpanych w Świątku. Referat omawiał higienę psychiczną i stosowanie jej wskazań w pracy pielęgniarki społecznej. P. M. Babicka - Zachert omówiła rozwój nowoczesnego pielęgniarstwa za okres 1924 — 1934 r.

Wieczorem odbyło się zebranie towarzyskie.

Drugi dzień obrad IX Ogólnopolskiego Zjazdu Polskiego Stowarzyszenia Pielęgniarek Zawodowych rozpoczął się, o godz. 10-ej, zebraniem dyskusyjnym, na którym wygłoszono szereg referatów. M. in., p. Legutko z krakowskiego P. C. K. omówiła działalność kół młodzieży P. C. K. na terenie szkół, oraz wielkie znaczenie tych organizacji dla pedagogiki wychowawczej.

Referat p. t. „Pielęgnowanie ubogich chorych w ich domach”, opracowany na podstawie materiałów i obserwacji, zebranych przez pielęgniarki, wygłoszony został przez p. Iżycką-Kowalską, instruktorkę z Koła Opieki Społecznej Magistratu m. st. Warszawy i uzupełniony przez nią szeregiem fachowych wyjaśnień z dziedziny pracy pielęgniarek w terenie. Referat ten, ilustrowany szeregiem wykazów, wywołał duże zainteresowanie i gorącą dyskusję uczestników Zjazdu, oraz zaproszonych lekarzy, którzy podkreślali znaczenie pracy wykwalifikowanej pielęgniarki dla lekarza w akcji niesienia pomocy najuboższym oraz w szerzeniu zrozumienia kultury zdrowia. Następnie p. E. Wielowiejska zreferowała sytuację w „Przychodniach Przeciwgruźliczych.”

O godz. 14-ej nastąpił pokaz nowoczesnych zabiegów pielęgniarstwie, demonstrowany przez absolwentki szkół: warszawskiej, krakowskiej, szkoły P. C. K., oraz wyświetlono filmy z tej dziedziny, przysłane przez Związek Czerwonych Krzyży.

Stowarzyszenie Pielęgniarek Zawodowych liczy ponad 600 członkiń, oczywiście mówimy tu wyłącznie o pielęgniarkach

świeckich, nie zakonnych. Stowarzyszenie wydaje swój własny dwumiesięcznik, drukujący się w Krakowie, dający materiał do kształcenia fachowo i dający obraz działalności tej organizacji zawodowej. A działalność ta nie ogranicza się do pracy w szpitalnictwie. Coraz nowsze wynalazki medycyny i nowe gałęzie wiedzy oraz ośrodki obserwacyjne, pozwalają pielęgniarkom specjalizować się w najrozmaitszych dziedzinach, dających szerokie pole do pracy.

Jedną z ostatnich imprez P. C. K. jest uruchomienie w porozumieniu z Kołem Ziemianek objazdowej pracy higienistek wiejskich, organizujących krótkie kursy po wsiach, udzielające porad i wskazówek z zakresu podstawowej higieny. Niewątpliwie na tem polu po naszych wsiach polskich jest bardzo wiele do zrobienia i przez długi jeszcze czas nie odczujemy chyba nadmiaru personelu instruktorskiego.

Na terenie Polski istnieje 5 szkół pielęgniarstwie.

Trzy z nich znajdują się w stolicy: Warszawską Szkołę Pielęgniarek, mieszczącą się we wspólnym nowoczesnym gmachu przy ul. Koszykowej 78, oraz Szkołę Pielęgniarek Polskiego Czerwonego Krzyża przy ul. Smolnej 6, mająca znakomity teren praktyki w miejscowym szpitalu. Studja trwają 2 lata i 4 miesiące, pod kierownictwem p. Nagórskiej i jej prawej ręki p. Żmudskiej, które całe doświadczenie swych studjów zagranicznych w dziedzinie pielęgniarstwa zostosowują z wielkim pożytkiem u nas w kraju.

Trzecia szkoła warszawska znajduje się przy szpitalu starozakonnych na Czystem. Poza tem Kraków posiada uniwersytecką szkołę pielęgniarek i higienistek a w Poznaniu mieści się druga szkoła pielęgniarek P. C. K., wiążąca absolwentki z Czerwonym Krzyżem, który otacza je stałą opieką, posiadając właśnie ogniska i domy wypoczynkowe.

LOTNICZKA STRATOSFERY.

Żona Jana Piccarda, brata słynnego Augusta, jest pierwszą kobietą, która zdała egzamin na aeronautkę.

Jan Piccard już nieraz zapowiadał swój lot. Słynnego dnia październikowego 40,000 ludzi zeszło się na lotnisko w Detroit. Balon począł powoli podnosić się, lecz było niebezpieczeństwo, że ta gruba kieszka zapłonie się w przewody elektryczne o wysokim napięciu. Wówczas pani Piccardowa pokazała, że się nie boi. Otworzyła odważnie okienko w gondoli, spuściła wórek z balastem, uregulowała wentyl i w ten sposób osiągnęła, że balon się nie zaplałał.

Gdy wreszcie znaleziono się na ziemi, jakkolwiek z uszkodzoną gondolą, zapytano co robiła podczas lotu?

— Jadłam drugie śniadanie — brzmiała zupełnie nienaukowa odpowiedź. — Kanapki, kotlety kurczące i kawę z termosu. Bardzo mi to smakowało, podczas gdy instrumenty wskazywały coraz większą wysokość.

Istotnie jest to jedyna para świata, która wyleciała na wysokość 12,000 m.

Gdy pani Piccardowa dowiedziała się, gdzie wylądowano, była z początku niezadowolona, gdyż myślała, że doleczą conajmniej do Waszyngtonu. Ale spojrzawszy na aparat wskazujący wysokość, wyraziła zadowolenie, że jednak wcale nieźle się powiodło.

Wkrótce zatelefonowała do swego domu w Detroit, czy Pawełek i Donald, dwaj jej synkowie, poszli już spać, gdyż ostatecznie nawet mamusia ze świadectwem lotniczki stratosferycznej ma jeszcze poza stratosferą inne kłopoty.

50-LECIE GIMNAZJUM JÓZEFY GAGATNICKIEJ.

Dn. 27. X. gimnazjum żeńskie Józefy Gagatnickiej (Senatorska 30) obchodziło jubileusz 50-lecia swego istnienia. Po uroczystej Mszy św. w kościele św. Anny odbyła się akademja dla uczennic. Popołudniu, w sali Resursy Ob. miała miejsce akademja przy licznych udziałach przedstawicieli władz szkolnych. Po zagajeniu akademji przez p. M. Niekraszową wręczono jubilatce księgę pamiątkową, poczem nastąpiły przemówienia i część koncertowa.

Józefa z Herknerów Gegatnicka założyła pierwszą, 3-klasową szkołę żeńską w 1884 r. Szkoła, pomimo ciężkich dla szkolnictwa polskiego czasów, rozwijała się pomyślnie i w 1908 r. była już szkołą 7-klasową. Równocześnie p. Gagatnicka uzyskała dla abiturjentek szkół warszawskich prawo wstępu na uniwersytety szwajcarskie.

Józefa Gagatnicka zasłużyła się również jako jedna z inicjatorek „Uniwersytetu latającego”, założycielka kursów pedagogicznych dla nauczycielek, „Wyższych Kursów Handlowych” i wreszcie jej zasługą było wyjednanie pozwolenia w 1905 roku na nauczanie w żeńskich szkołach w języku polskim.

NOWA STACJA OPIEKI NAD MATKĄ I DZIECKIEM.

W związku z reorganizacją warszawskiego szpitala dla dzieci (Kopernika 43), zorganizowano tam wzorową stację opieki nad matką i dzieckiem oraz kuchnię mleczną.

Stacja czynna jest w poniedziałki, środy i piątki.

Kierownictwo tej pożytecznej, nowej placówki opieki społecznej nad dzieckiem powierzono prof. dr. Jerzemu Michałowiczowi.

RUMUŃSKIE SKAUTKI I PO-
ZDROWIENIE FASZYSTOW-
SKIE.

Skautki rumuńskie defilując
przed królem Karolem II, wi-
tają go ukłonem faszystow-
skim.



OPAŁ DARMO.

Przy nadchodzącej zimie, berlińskie gosposie skrzętnie zbierają
drewniane odpadki na opał.



KOBIETA — SZEWC.

Do zawodu szewckiego, który dotychczas niemal wyłącznie był
opanowany przez mężczyzn, zabierają się dziś i kobiety. Na
zdjęciu niemiecka łataczka obuwia.

KONKURS PODRĘCZNYCH PARYSKICH.

Podręczne wielkich magazynów paryskich, których modele pójdą na cały świat, biorą udział rok rocznie w konkursie szycia, organizowanym przez Izbę Przemysłową.



OBÓZ PRACY DLA DZIEWCZĄT W BER- LINIE.

Niemiecko - protestancki Związek Kobiet i Stowarzyszenie Protestantkiej Młodzieży Żeńskiej Berlina zorganizowało obóz pracy na 70 dziewcząt, które piorą i szują odzież dla biednych na zimę i obsługują kuchnię dla 200 bezrobotnych. Na zdjęciu dziewczęta zajęte pracą w szwalni.

HOTEL BIAŁYCH MYSZY.

Pani Profesor Agnes Bluhm od czterdziestu lat prowadzi słynny „dom białych myszy“ Stowarzyszenia Cesarza Wilhelma, gdzie obecnie wychowuje się 40,000 myszy, przeznaczonych do doświadczeń naukowych. Zdjęcie przedstawia moment, gdy laborantka przygotowuje trzy tysiące porcji z ziarna, warzyw i zieleniny. Myśzy ciężarne i młode matki otrzymują ponadto porcję mleka.



Ogrodnictwo i hodowla

NASZE JAJA

Drobiaństwo nasze przeżywa obecnie ciężki kryzys i np. produkcja jaj stoi poniżej opłacalności. Miejmy nadzieję, że jest to stan przejściowy, który musi minąć. W danej chwili zresztą mamy na eksport jaj lepsze widoki, niż na jakikolwiek inny wywóz (np. toczące się pertraktacje z Hiszpanją o traktat wymiany jaj naszych na ich pomarańcze).

Dlatego też wartoby zwrócić uwagę na gatunek produkowanych jaj, które pomimo nawoływania całej prasy fachowej, właściwie w ciągu ostatnich lat bardzo mało się poprawiły. Ciągłe jeszcze produkujemy jaja małe, o lichym smaku, często zabrudzone i t. d. Istnieją wprawdzie dość surowe przepisy eksportowe, ale te przepisy nic nie pomogą, o ile ogół drobnych hodowców, (a tych jest większość i oni w ogólnej sumie produkowanego towaru grają największą rolę) nie zrozumie doniosłości tej sprawy i nie poprze należącego poprawienia wagi i gatunku naszych jaj. Mimo owych przepisów, np. na rynku angielskim (jak dotąd najwięcej odbiorcy jaj), ceny otrzymywane za jaja polskie stoją na 10-tym miejscu pod względem wysokości. Przed nami są nawet jaja sowieckie, a za nami jedynie jaja chińskie i egipskie, t. j. krajów stojących na bardzo niskim poziomie cywilizacji.

Fakt ten powinien być przez nas uważany za ujmę, która jaknajprędzej powinna być zmyta.

Poprawienie wagi jaj, to kwestja długoletniej selekcji i konieczność wymiany naszych różnych srokattek, czubatek i t. p. na rasowy drób. Przy dobrej woli można zrobić wiele przez wybieranie na jaja rozplodowe sztuk dużych, i jedynie od kur, których nieśność nas zadawała. W tym miejscu zaznaczyć trzeba, że, aby mogła być mowa o rentowności hodowli kur, należałoby ich nieśność zwiększyć w dwójnasób, co jest zupełnie możliwe do przeprowadzenia, jeśli tylko będzie się prowadzić odpowiednią selekcję, bo, jak wiadomo, nieśność jest cechą dziedziczną.

Natomiast produkowanie jaj brudnych, które potem są obmywane (mycie jaj powoduje szybsze się ich psucie) jest jedynie kardynalnym niedbalstwem. Niedbalstwo to powinno być raz na zawsze zmienne. Jest to sprawa poważna, która powinna obchodzić szeroki ogół i raz wyjść z ciasnego koła drobnego i stosunkowo ciasnego

kręgu działalności instruktorów fachowych i prelegentów. Każdy najdrobniejszy nawet hodowca powinien uważać za swój obowiązek, dostarczyć kurom czystych kurników. W kurnikach tych powinna być dostateczna ilość gniazd, wysłanych czystą słomą.

Gniazda te robi się ze zwykłych skrzynek, lub koszyków takiej wielkości, żeby kura swobodnie w nim zmieścić się mogła. Gniazdo wyściela się miękką, krótką słomą, najlepiej owsianą. Gniazdo należy wysypać proszkiem przeciw owadom, które naogół kury niesłychanie dręczą. Podściół ten co kilka dni powinien być zmieniany z reguły, oraz zawsze ilekroć słoma zostanie zanieczyszczona.

Gdy kury będą miały przygotowane, czyste i wygodne gniazda, bardzo łatwo przyuczą się do tego, aby tylko w nich jajka składać. Uniknie się wtedy strat spowodowanych „gubieniem” jaj przez kury, które, unikając brudnych gniazd, w których je napastują pasożyty, składają je po różnych kątach i zakamarkach.

W większych hodowlach wszędzie dziś już są stosowane *gniazda zatraskowe*, które ułatwiają kontrolę nieśności, ale i tam zwraca się często niedostateczną uwagę na czystość podściółki. Gniazdo takie łatwo sobie samemu zbudować gospodarczym sposobem.

Reasumując to wszystko, trzeba stwierdzić, że konieczna jest szeroka propaganda racjonalnych gniazd i to propaganda, nie tylko słowem, ale przede wszystkim przykładem. W tym wypadku minimalnym kosztem można polepszyć jakość produkowanego towaru, a tem samem podnieść rentowność, tak bardzo ważnej gałęzi naszej gospodarki.

Wszyscy hodowcy powinni pamiętać o tym, że obowiązuje ich zasada:

— Produkcja jaj tylko w czystej skorupce.

Lepkowska.

O JESIENNEM NAWOŻENIU OGRÓDKA

Wraz z plonami, które zbieramy z naszych ogrodów, wydobywamy z ziemi kolosalne ilości zasobów mineralnych. Gdybyśmy ziemi niczym nie zasilali, tylko jej stale zabierali, to musiałoby to doprowadzić do kompletnego wyczerpania się jej, a co za tem idzie, do zmniejszenia urodzajów.

Dlatego też co roku musimy ziemi zwrócić możliwie z naddatkiem

to, czem ona nas obdarzyła. To też coroczne obfite nawożenie jest w racjonalnej gospodarce konieczne.

Nawozimy zarówno *nawozami sztucznymi*, jak i *naturalnymi*.

Nawóz stajenny powinniśmy się starać dawać jesienią. Przeciętnie pełna dawka obornika powinna być dawana na każdym kawalku ziemi co trzy lata. Czyli, że co roku dawać będziemy nawóz mniej więcej na $\frac{1}{3}$ część ziemi. I tak na wiosnę posiejemy warzywa żarłoczne i znoszące świeży nawóz, jak np. wszystkie okopowe, kukurydzę, kapustę, ogórki, pomidory i t. p.

Działanie rozkładającego się nawozu ma dla gleby doniosłe znaczenie. Świeży nawóz zwierzęcy neutralizuje się w roli, t. zn. wydziela wiele gazów i tworzy kwasy krochmalowe, które następnie łączą się z wodą. Powodując więc cały szereg procesów chemicznych w roli, przyczyniają się wydatnie do rozwoju tysięcy drobnoustrojów i to wszystko razem powoduje „wydobrzeenie” ziemi.

Dalej, nawóz zwierzęcy sprowadza do ziemi próchnicę, dzięki której pokarmy mineralne są łatwiej przez rośliny przyswajane. Próchnica, to błogosławieństwo, zarówno gleb lekkich, którym pomaga zatrzymywać wilgoć, jak i gleb ciężkich, zlewnych, którym nadaje pulchność, a więc udostępnia przypływ powietrza. Aby te wszystkie, dla gleby tak bardzo dobroczynne, procesy miały przebieg normalny, trzeba zasilenie nawozem zwierzęcym przeprowadzać umiejętnie. Przy nieumiejętnym bowiem nawożeniu, łatwo nawóz zmarnować tak, że wartość jego dla ziemi jest w znacznej mierze stracona, co z kolei odbić się musi na przyszłym urodzaju.

Jako zasadę przyjąć należy, iż *lepiej namieść mniejszy kawalek, a bogaciej, niż większy, a słabo*. Im wcześniej na jesieni go damy, tym lepiej. Chodzi tu bowiem o to, aby mógł on jeszcze przed zimą przynajmniej częściowo się rozłożyć. Wtedy roślinki, posiane wczesną wiosną, odrazu znajdują w ziemi zasób gotowego pokarmu, z którego mogą dowolnie czerpać. Pamiętać bowiem należy, iż za pokarm dla roślin służy nie sam nawóz, lecz produkty jego rozkładu, a zwłaszcza produkty działania bakterij, którym nawóz służy za pożywkę.

Cała dawka nawozu powinna być natychmiast po przywiezieniu równo rozrzucana po całym kawalku. Nawóz, leżący na niewielkich kupkach, bardzo szybko się rozkłada i wiele cennych składników ucho-

dzi w powietrze. Przykrycie nawozu nie powinno być zbyt grube. Chodzi tu bowiem o to, aby powietrze miało wolny dostęp. Pamiętać należy, że dla normalnego rozkładu obornika potrzebny jest tlen z powietrza, jako niezbędny do rozwoju bakterij i szybkich procesów chemicznych.

Marja Dąbrowa.

INSPEKTA PRZED ZIMĄ

Inspekta stanowią kosztowny sprzęt, toteż powinniśmy się z nimi tak obchodzić, aby trwały lata.

Po skończonym sezonie skrzynie opróżnić z ziemi, przesuszyć na słońcu i ułożyć jedną na drugą, w jakiejś szopie, lub przynajmniej pod okapem. Aby drzewo niegniło od spodu, ustawiamy je nie wprost na ziemi, a podkładamy niewielkie legarki, tak, aby powietrze miało wolny dostęp od dołu.

Okna oczyszczamy, poprawiamy kit, malujemy na świeżo i wynosimy na strych.

Maty doskonale przesuszone, zwinięte w rolki, układa się w miejscu suchym i zabezpieczonym od myszy, inaczej często sprawiają one ogrodnikom niemiłą niespodziankę, w postaci kompletnie pociętej słomy i sznurków. Ziemię z inspektów, oraz nawóz składa się razem na przymę, dodając wapna palonego w celu dezynfekcji. Przykryć następnie tę przymę warstwą łęcin, lub słomy dla zabezpieczenia od przemarznięcia. Miejsce gdzie mamy zakładać inspekta przykrywamy warstwą liści, aby ziemia zbyt głęboko nie przemarzła.

W zimie, podczas kilkustopniowego mrozu, ziemię inspektową przerzucamy z miejsca na miejsce, przez co owady i dżdżownice, które się tam schroniły, giną. Po dwóch latach przesiewamy tę ziemię przez rafkę, dodając do niej trochę gruboziarnistego piasku, oraz niewielką ilość tynku, gipsu, lub wapna. W ten sposób otrzymamy doskonałą ziemię do inspektów. Gorący inspekt, pod wczesne nowalje, zakłada się w styczniu, lub lutym. Miejsce przeznaczone pod niego należy przed nastaniem mrozów okryć gnojem, lub liśćmi, aby nie zamarzło.

Zamierzając zakładać inspekta poraz pierwszy, trzeba również zawczasu pomyśleć o odpowiednich zapasach ziemi do nich. Ziemia inspektowa musi koniecznie odpowiadać ściśle określonym warunkom. Musi ona być pożywną, aby posiane, czy posadzone roślinki od pierwszego dnia swego życia znalazły w niej dostateczny zapas pokarmów.

Ponieważ pod wpływem ciepła od dołu i pary, która się tworzy

pod szybami, łatwo jest o procesy gnilne, przeto ziemia inspektowa musi być doskonale przemacowana i nie zawierać części gnijących, któreby sprzyjały rozwojowi pleśni. Jeśli nie mamy takiej ziemi, to możemy ją sobie łatwo przygotować z darniny wolnej od perzu, zdjętej z dobrej łąki, złożonej na kupę trawą na doł, polewanej gnojówką i co 3 miesiące przerobionej doskonale łopatami. Gdy następnie taką ziemię przesiejemy przez rafkę i dosypimy do niej 1/3 część piasku, otrzymamy dobrą ziemię inspektową. Ziemia ta do dojrzewania potrzebuje około 2 lat.

Gdybyśmy chcieli zdobyć ziemię do inspektu jeszcze szybciej, można ją otrzymać ze zwykłej rodzajnej ziemi ogrodowej, utrzymywanej w kulturze. Ziemię tę miesza się z przegniłym szlamem, torfem, lub ziemią liściową, wziętą z liściastego lasu, albo lepiej jeszcze z ziemią, powstałą z zupełnie przegniłego gnoju. Wszystkie te materje przerabia się razem, starając się przemieszać jaknajlepiej i dodaje do nich tyle piasku, ile potrzeba, aby ziemia łatwo w palcach się rozcierała na proszek szary, tłusty, wilgotny, ale nie mokry.

Koło inspektów zakładamy zwykle również i rozsadnik. Ziemia ta musi być doskonale doprowadzona, głęboko skopana i przed nastaniem silniejszych mrozów przykryta warstwą liści, gałązek, łęcin, nawozu, lub t. p. materiału, który ją chroni od zbyt głębokiego przemarznięcia, przez co ziemia wcześniej z wiosny będzie gotowa na przyjęcie nasion.

Im ziemia jest wilgotniejsza i cięższa, tym przykrycie obornika musi być płytsze i odwrotnie, na ziemiach lekkich, przewiewnych zakopujemy go głębiej.

Zbyt głęboko przykryty nawóz „torfieję”, t. j. murszeje, bo bez wolnego dostępu powietrza nie mają miejsca procesy, o których była wyżej mowa.

Jak już zaznaczyłam, nawóz ten powinien być dany możliwie jak najwcześniej, aby zdążył się przed zimą rozłożyć, aby bez szkody dla niego, ziemia mogła być przed zimą jeszcze raz możliwie jak najgłębiej przekopana.

Marja Dąbrowa.

RZEŻUCHA OGRODOWA

latem i zimą

Do zasiewu używa się nasion dwu i trzech letnich, które szybciej kiełkują niż roczne.

Zasiew można skutecznie w każdej porze roku i wschodzi on już po 3—4 dniach.

Chcąc mieć przez całe lato dobrą i delikatną rzeżuchę, sieje się ją od wiosny co dwa tygodnie na żyznej ziemi. W okresie letnich upałów przeznaczamy pod nią miejsce cokolwiek ocienione. Posiana w pełnym słońcu, staje się twarda, włóknista i wogóle niesmaczną. W cięższej ziemi sieje się ją wprost na powierzchnię i zasiew przyklepuje deseczką. W ziemi lekkiej, piaszczystej siejemy ją w rowki.

Zasiew musi być silnie podlany i stale utrzymywany wilgotno.

Z małym zachodem można mieć przez całą zimę zdatną do cięcia rzeżuchę.



Takie egzemplarze warzywa może wyhodować farmer kalifornijski.

Należy sobie tylko zrobić kilka niewielkich i płótkich skrzyneczek, które wypełnić ziemią lekką.

Nasienie wysiewa się gęsto i równo, uklepuje deseczką i skrapia delikatnie, używając do tego rozpylacza, a w braku tegoż posługujemy się zwykłym kropidłem, lub poprostu wiazką, zmoczoną w wodzie.

Skrzyneczki stawiamy na 24 godzin w ciepłym miejscu, a gdy nasionka dobrze skielkują, stawiamy skrzynki na słonecznym oknie.

Młode listki rzeżuchy używa się jako sałatę, doprawione octem i oliwą do ozdoby półmisek, jako dodatek do zup jarzynowych, do sałatek kartoflanych i t. p.

Marja Dąbrowa.

BLUSZCZ

Do niedocenionych roślin, zarówno w ogrodach, jak na balkonach i w mieszkaniach należy bluszcz. Jest to roślina bardzo efektowna, szybko rosnąca i o minimalnych wymaganiach.

W ogrodach doskonale się nada, jako roślina pnąca do zasłaniania murów północnych, do okrywania ziemi w parkach pod drzewami itp.

Znam ogród w Bronowicach pod Krakowem, gdzie przed 10-ciu laty przywieziono gałązkę bluszcza, zerwaną z grobu Słowackiego w Paryżu (było to jeszcze przed przywiezieniem zwłok Wieszcza do kraju) i zasadzono w ogrodzie pod drzewem. Po 4 latach bluszcz się tak rozrósł, że zajął kilka metrów kwadratowych, tworząc zwarty kołbierzec.

Na balkonie może być również traktowany, jako roślina trwała i użyty, jako przykrycie niezbyt zwykle ładnych zewnętrznych ścianek skrzynek. Można z niego tworzyć zwisające festony i t. p., rozprowadzać wzdłuż ściany okiennej, lub balkonu; można także obsadzić nim gęsto skrzynki. Pędy bluszcza można rozpinać na płótkach, przez co otrzymamy jakby żywy parawan. W tym celu wysadza się sadzonki bluszcza co 10 — 15 cm.

Płotki zaś mogą być dowolnych rozmiarów np. 1 — 1½ wysokie zbudowane z listew 2 — 2½ cm. szerokich, pomalowanych najlepiej na zielono. Listewki najlepiej przybijać w skośną kratę, której pola wynosiłyby 10 — 15 cm. światła. Do całkowitego ich zarośnięcia potrzeba, stosownie do ich rozmiarów płotka 2 — 4 lat. W skrzynkach takich bluszcz może rosnąć długie lata, trzeba tylko ziemię co roku zasilać i rośliny starannie pielęgnować.

Dość trudną i kłopotliwą jest rzeczą przesadzanie bluszcza, gdy

skrzynki zgniją, bo roślina ta nie znosi naruszania korzeni. Przesadzanie ze skrzynek skuteczniemy z reguły na wiosnę przed ruszeniem wegetacji roślin.

Przedewszystkiem przycinamy pędy bluszcza do połowy, wyjmujemy rośliny, zachowując starannie bryłki korzeniowe i sadzimy do nowych skrzynek, dając duże dreny i wypełniając je świeżą i pożywną ziemią.

Bluszcz jest zupełnie niezastąpioną rośliną cmentarną, gdyż, jak żadna inna, nadaje się do *obsadzania balustrad*, okrywania podstaw pomników i t. p.

W pokoju oddaje również cenne usługi, bo zadawała się skąpym światłem i podobnie jak aspidistrja jest jedną z najwytrwalszych roślin. Doskonale się nadaje do ozdabiania wyższej części okna, na którym stoją kwiaty. Gdy po obu stronach okna ustawimy dwie duże doniczki z silnymi krzewami bluszcza i puścimy go w festonach, gałęzie jego doskonale zastąpią firanki, co jest bardzo ważne, bo firanka jest naogół wielkim wrogiem roślin pokojowych, zabierając im słońce i światło.

Bluszcz, zwany po łacinie *Hedera*, należy do dziedziny dzięgiowatych *Arabiocae*; spotyka się go i w naszych lasach i w całej Europie. Jest to roślina leśna przystosowana do bytowania pod osłoną silniejszego towarzysza. W pokoju zadawalnia się nie tylko północnym oknem, ale zdala od okna hodowany, dobrze się rozwija.

Zaprowadzając bluszcz w ogrodach, skrzynkach balkonowych, na cmentarzach, najlepiej brać krajowy, leśny, jako ten, który doskonale naszą zimę wytrzyma. Sadzonek dostarczą nam wycieczki do lasu. Ten sam bluszcz można brać i do hodowli pokojowej, z tym jednak, że wtedy w zimie stać on musi w pokoju, w którym się nie pali.

Dlatego też do hodowli w normalnym mieszkaniu najlepiej brać odmianę wschodnią, zw. kolchidzką, która doskonale wytrzyma pokojową temperaturę, mieszkania normalnie ogrzewanego.

Odmian bluszcza jest niewiele. Najczęściej spotyka się *Hoedera arborea*, co jest resztą tylko krzewiastą odmianą bluszcza zwykłego.

Bluszcz, to roślina zimotrwała, drzewniejąca na starość; poszczególne pędy dochodzą nierzadko nawet i do 20 m. Liście mają śliczny kształt i nadzwyczaj oryginalny rysunek unerwienia. One to stanowią główną ozdobę rośliny, bo kwiatki zielone, niepozorne nie mają żadnych walorów dekoracyjnych.

Rozmnażanie bluszcza odbywa się przez odkłady, które można robić od wiosny do jesieni i przez sadzonko-

wanie, które najlepiej skutecznie w ciągu lipca i sierpnia, używając na ten cel napół zdrzewniałych flanców. Zakorzenie się zwykle trwa dość długo.

Hodowla bluszcza jest łatwa; pamiętać jednak należy, iż jest to roślina dzika, stosunkowo bardzo niedawno wzięta do mieszkania — bluszcz tedy potrzebuje jak najwięcej powietrza. Najlepszą ziemią dla bluszcza jest luźna, pożywna ziemia inspektowa. Zwykle stosuje się mieszaninę ziemi darniowej, liściowej i gnojowej w równych częściach. Zakorzone sadzonki zostawiamy w doniczce, lub misce, aż do wiosny następnego roku.

Latem bluszcz potrzebuje dużo wody i częstego zraszania liści. Zimą podlewamy go miernie, t. zn. tylko tyle, aby nie dopuścić do kompletnego zasuszenia korzeni.

Bluszcz w skrzynkach, płótkach i t. p., zimowany w piwnicach, nie potrzebuje wogóle podlewania w ciągu zimy. Wstawia się go tam na okres od listopada do marca.

Marja Dąbrowa.

Odpowiedzi działu ogrodniczohodowlanego

P. N. Kuczyńska. Wszelkich objaśnień udzieli szkoła, której adres: Szafarnia, Poczta Gotub, Pomorze.

P. Winczewska, Mława. Hodowlę królików, zwłaszcza tam, gdzie je można żywić odpadkami gospodarstwa i traktować nie jako produkt handlowy, ale na mięso i skórki, zużytkowane przez hodowcę, opłaca się zawsze.

Hodowla dla celów handlowych, wobec tego, że spożycie mięsa króliczego jest u nas małe, opłaca się tylko wyjątkowo. Natomiast w danej chwili, hodowlę królików angorskich, t. j. takich, z których się wyczesuje wełnę, jest opłatna. Gdzie nabyć króliki tej rasy, wskaże „Związek hodowców drobiu i królików“ Warszawa, ul. Kopernika Nr. 30.

CZYTELNICZKI NASZE

prosimy, by żądały pism kobiecych we wszystkich kawiarniach, cukierniach, restauracjach, czytelniach i t. d.

Dom i gospodarstwo

JESZCZE O MIĘSIE

Wracając do tematu, który w związku z Pokazem Kół Gospodyń Wiejskich i naszego z tego Pokazu sprawozdania, musiał siłą rzeczy pójść „ad acta”, omówimy dzisiaj zasadnicze cechy dobrej cielęciny.

Otóż cielęcina — mięso cieszące się „największym wzięciem” w kuchniach naszych, cielęcina, jako danie poniekąd djetetyczne, a w każdym razie delikatniejsze od każdego innego mięsiwa, powinna być przede wszystkim biała. Cielęcina o cechach, jakich mamy od niej prawo wymagać, musi pochodzić z cielęcia młodego, które ukończyło dwa tygodnie, a nie przekroczyło sześciu do ośmiu tygodni. Poza tym terminem prekluzyjnym przestajemy mieć do czynienia z cielęciną. Starsze cielęta dają mięso o smaku wołowy najniższego gatunku, po upieczeniu mięso tak zwanego „bukata” (starego cielaka) ma kolor, w stosunku do cielęciny, ciemny, do wołowy — podejrzenie jasny. Surowe mięso bukata jest jasno czerwonego dla oka koloru.

W okresie przedwojennym rynek handlowy obfitował w cielęcinę tuczoną. Pochodziła ona z cieląt specjalnie karmionych. Ćwierci były duże, mięsiste, mleczno-białe o skali wykwinu zbliżonej do tuczonego drobiu. Dzisiaj cielęciny tego typu nie spotyka się na rynku, natomiast pomiędzy skalą gatunku cielęciny zachodzą tak poważne różnice, że, kupując cielęcinę, należy żądać tak zwanego *pierwszego numeru*, to znaczy mięsa blado-różowego, pokrytego białym przezroczystym tłuszczem, o nerkach oblaných grubą jednolitą warstwą białego jak mleko łoju. Im suciej nerki są obrosnięte łojem, tem większą mamy pewność co do wysokiego gatunku cielęciny.

Podział cielęciny jest następujący:

1. *Dyszek*, czyli zadnie ćwierci — używane na pieczeń, a często spotykany w handlu, jako *szyclówka wyluzowana z kości*. Sama nazwa wskazuje, że ta część mięsa bywa używana i najodpowiedniejsza na sznycle.

2. Dalej mamy tak zwany „*for-szlak*” z nerką — wysmienity do pieczenia jednak, niestety, wybitnie kościasty.

3. *Kotletówka* — część delikatna, używana na kotleciki z kostką.

4. *Górka* — specjalnie na rosół i potrawę.

5. *Łopatka* — odpowiednia na pieczeń. Z dużego, mięsistego, tłustego cielęcia nieomal równie smaczna, jak zadnia ćwiartka.

6. *Mostek* — delikatny, wyborny zarówno na rosół i potrawę, jak do faszerowania i pieczenia. Mostek można też po ugotowaniu przycisnąć deską i ciężarem „sprasować”, krajać na niewielkie kawałki, a po umaczeniu w jajku i skrażeniu w tartej bułeczce smażyć, używając do garniowania jarzyn.

7. *Nerki cielęce* — delikatne, wyborne w smaku, używane jako samoistne danie, a przyrządzane najrozmaiej.

8. *Główka cielęca* — doskonała na potrawę pod warunkiem, żeby nie była odarta ze skóry.

9. *Ozorek cielęcy* — miękki, delikatny, wysmienity.

10. *Mózdzek cielęcy* — używany na paszteciki (kokilki), farsze, kotleciki, wreszcie podawany z wody.

11. *Nóżki cielęce* — do smażenia w cieście, albo też na potrawkę podawaną w ostrym rumianym sosie.

12. *Kreski cielęce* — flaczki delikatne, wykwinne, amatorskie danie, które przyrządza się, jak flaki wołowe, z tą różnicą, że dla zaostrożenia dosyć mdłego smaku dobrze jest dodać kilka łyżek białego wina.

Smak dania mięsnego jest ściśle uzależniony od gatunku mięsa, z jakiego je przyrządzamy. Jednak równie ważną rolę gra tutaj umiejętność rozróżnienia jaka część, na jaką nadaje się potrawę, jak i nieodzowna umiejętność przyrządzenia tej potrawy.

Kierując się powyższem, postaram się dać Paniom kilka krótkich, a rzeczowych wskazówek praktycznych.

Cielęcinę przeznaczoną na pieczeń dobrze jest namoczyć w zimnej wodzie na kilka, a nawet kilkanaście godzin przed użyciem. Przed namoczeniem mięso musi być wymyte w kilku wodach, a namoczone w dużym naczyniu, tak aby było całe pokryte wodą i swobodnie w niej zanurzone. Namoczona cielęcina nie powinna być szczelnie przykryta. Trzeba ją osłonić przed kurzem, ale pozostawić dostęp powietrza. Stać musi w zimnie, inaczej nabierze oioru, wskazującego na pierwsze stadium rozkładu.

Po wyjęciu z wody trzeba mięso jeszcze kilkakrotnie opłókać, osączyć, a nasolić na chwilę przed wstawieniem do pieca. Leżąc w soli, czerwienieje.

Zupełnie tak samo postąpimy z cielęciną, przeznaczoną do gotowania, z tą jedynie różnicą, że mięsa nie solimy, zadawalniając się osoleniem saku.

Mięso przeznaczone na sznycle, albo kotlety siekane musi być czyściście wymyte, jednakże osączymy je i osuszymy, jak najstaranniej, inaczej skórka ze sznycli (panierowanych) będzie odpadała od mięsa, a kotlety, czy zraziki siekane wykażą, z powodu nadmiaru wilgoci, tendencję do rozpadania się w czasie smażenia.

Mięso przeznaczone na sznycle, lub kotleciki z kostką, musi być zawczasu zbite i leżeć po zbitiu (przed smażeniem) parę godzin. Solić zawsze dopiero w ostatniej chwili.

Na sznycle najlepiej kupować sznyclówkę bez kości. Droga, ale daleko wydajniejsza, niż cielęcina kupowana z kością. Poza tem, Pani, która niema doświadczenia i wyrobienia w dzieleniu mięsa, dobrze zrobi, każąc sobie odrazu pokrajać sznycle u rzeźnika, dając rzeczowe wskazówki co do żądanej wielkości.

Trzeba bowiem liczyć się i z tem, że mięso musi być krajane nie wzdłuż, a w poprzek sło, inaczej nie da się rozbić i ukształtować, straci na smaku i wyglądzie. Kupując kotletówkę na kotleciki z kostką, musimy też kazać odrazu rzeźnikowi oddzielić kość grzbietową, a kotleciki pokrajać „podług kostki”. Mało, która z nas i naszych pomocnic robi to umiejętnie, a od tego zależy estetyczny kształt i wygląd kotletów.

Jeżeli kupujemy łopatkę cielęcą, przeznaczając ją do upieczenia w całości, każmy rzeźnikowi usunąć dużą, płaską kość jaka biegnie przez środek, inaczej dzielenie mięsa po upieczeniu będzie wprost niemożliwe.

Z łopatki wyluzowanej z kości można przyrządzić wysmienitą pieczeń faszerowaną. Wówczas jednak należy wyluzować ją całkowicie z kości, rozplaszczyc, nasmarować na półtora palca grubo farszem, przyrządzonym z bułeczki tartej, masła, jaj i siekanej zielinki, poczem zwinąć w rulon, związać lekko cienkim sznurkiem i upiec w piecu na rumiano.

Do faszerowania nadaje się również mostek cielęcy, który trzeba kazać rzeźnikowi umiejętnie oddzielić od kości, zaznaczając, że przeznaczamy go do faszerowania.

Wybornem daniem jest potrawka z główki cielęcej. Trzeba się jednak liczyć z tem, że u nas rzeźnicy mają zwyczaj zdzierać skórę z główki, a tem samem robią ją całkowicie nieużyteczną. Chcąc zatem mieć główkę w „odpowiedniej formie”,

to *znaczy ze skórą*, trzeba ją *za-*
wczasu u rzeźnika zamówić.

Móździki cielőce muszą być *nie-*
nagannie świeże. Przed obgotowa-
niem zdejmujemy z nich wierzch-
nią błonkę, usuwając ją całkowicie.
Najlepiej robić to, zanurzając móż-
dzek w zimnej wodzie. W ten spo-
sób błona najłatwiej odejdzie, a
zwoje mózgu nie uszkodzą się.

Mózg obgotowuje się, przed uży-
ciem, w wodzie lekko osolonej i za-
kwaszonej kwaskiem cytrynowym.
Kłaść w gorącą wodę, gotować kil-
ka minut.

Jeżeli podajemy móźdzek „z wo-
dy“ z masłem rumianem, trzeba go
na chwilę przed podaniem wyjąć
na sito, lub durszlak i doskonale
osączyć z wody. Inaczej wydoby-
wa się ona z pomiędzy zwojów
mózgowych i rozcieńcza przyprawę
(masło, albo sos). W ten sam sposób
potępujemy, używając mózg na
farsze, lub paszteciki.

Wanda Dobrzańska.

Przepisy gospodarskie

ZAJĄCE.

Najpospolitszą, ale zarazem i najpopu-
larniejszą „potrawą“ przygotowaną z za-
jaca, jest tak zwany „zajac po polsku“ w
sosie śmietanowym: Odpowiednio przyrzą-
dzony i doprawiony, jest wyśmienity i naj-
częściej na stołach naszych spotykany.

Zajaca należy przedewszystkiem oczy-
ścić z wnętrzości, a potem dopiero obcią-
gnąć ze skóry, wieszając go za tylne skoki
na haku. W czasie obciągania złamać prze-
dnie skoki w kolanach i pozostawić przy
skórze, a uszy odciąć wraz z mięsem ostrym
nożem i również zdjąć ze skórą.

Po obciągnięciu skóry odciąć głowę z
szyją, oddzielić przednie łopatki, żebra,
płuca i wątróbkę. Żółt oddzielić delikatnie,
aby się nie rozlała, wypłókać mięso i pod-
roby w kilku wodach, osączyć. Przednie łopa-
tki, wątróbkę i żeberka pozostawić na
pasztet, comber wraz z nieoddzielonymi
zadniami łopatkami pozostawić w całości i
zamarynować na przeciąg kilku dni, trzy-
mając w chłodnym miejscu.

Marynatę przyrządza się z octu najlep-
szego gatunku, rozcieńczonego pół na pół
wodą, przegotowując ją z dodatkiem ce-
buli i korzeni. Zajaca, ułożonego na głą-
bokim półmisku, zalewa się wystudzonym
octem i przewraca kilka razy w ciągu do-
by, aby się równomiernie marynował.

Po paru dniach wyjąć zajaca z bajcu,
wyżyłować z wierzchniej błony ostrym no-
żykiem, starając się nie zaciąć mięsa,
naszpikować obficie świeżą słoniną, kraja-
ną w paseczki, obłożyć plasterami cebuli,
marchwi i pietruszki, postawić w chłodzie
na kilka godzin.

Na pół godziny przed wstawieniem do
pieca zdjąć jarzyny, posolić.

Ułożyć zajaca na głębokiej blasze do pie-
czenia mięsa, podkładając pod spód sporo
masła i garnirując mięso powierzchniu w
niewielkich odstępach kawałkami surowe-
go masła. Piec, polewając często sosem,
jaki się wytworzy. Zajaca trzyma się w
piecu, od 5 kwadransów, do półtorej godzi-
ny, zależnie od jego wielkości.

Na dopieczeniu oblać szklanką śmietany,
rozbitą z pół łyżką mąki pszennej.

W ostatniej chwili przed wydaniem na
stół podzielić zajaca, odcinając zadnie łopa-
tki w stawach i dzieląc każdą na trzy
części. Comber, albo porąbać poprzecznie
w równomierne kawałki, albo też zdjąć
comber z kości, pokrajać w cienkie pla-
stry i ułożyć zręcznie podzielone plastry na
kości. Zalać sosem precedzonym przez
sitko, oddzielnie podać buraczki, albo sa-
łatę z czerwonej kapusty z jabłkami, kro-
kiety z kartofli.

Zajac z jarzynami na winie. Przygoto-
wać zajaca do pieczenia, jak wyżej. Na-
szpikować obficie paskami słoniny. Posolić
na pół godziny przed wstawieniem do pie-
ca.

Położyć na blasze łyżkę masła, rozgrzać
je w piecu, na masło ułożyć zajaca, przy-
kryć go plasterami cebuli, marchwi, pie-
truszki, rzucić gdzieniegdzie parę ziarn
pieprzu, ziela angielskiego, pokruszony li-
stek bobkowy. Wstawić do gorącego pieca,
a gdy puści sos, wlać białego wina i pole-
wać często tym sosem w czasie pieczenia.
Piec powinien być taki, aby się zajac nie
dusił, a piekł i rumienił.

Po upływie półtorej godziny, zdjąć ja-
rzyny, zajaca potranzerować, jarzyny i sos
przefasować przez sito, doprawić do sma-
ku dwoma łyżkami wina, buljonem, w ra-
zie potrzeby zagęścić masłem, przesmażo-
nem z mąką. Polać zajaca powierzchniu, u-
garnirować delikatnymi, małymi kluseczka-
mi kładzionymi, albo makaronem włoskim,
wstawić na chwilę do pieca, żeby był bar-
dzo gorący.

*Potrąwka z przodków albo udek zaję-
czych.* Jeżeli podajemy combrzy zajęcze
pieczone, a przednie łopatki i zadnie uda
mamy do rozporządzenia, można je zu-
żytkować, albo na pasztet, albo też na wy-
borną potrawkę duszoną.

Potrąwkę z zajaca przyrządza się w spo-
sób następujący:

Porąbać mięso na surowo w niewielkie
kawałki, ułożyć w rondlu na warstwie
cienko krajanej słoniny, lekko obwędzonej.
Mięso posolić, oprószyć odrobiną pieprzu
białego, dodać kilkanaście szalotek (drobne
cebulki), trochę korzeni, listek bobkowy,
podlać kilkoma łyżkami wina czerwonego
i dusić pod przykryciem, dopóki mięso nie
zmięknie. Wtedy oprószyć powierzchniu mą-
ką, dusić jeszcze chwilę. Wyjąć mięso z
sosu, ułożyć na okrągłym, dobrze wygrza-
nym półmisku, postawić na parze.

Do sosu dodać łyżkę buljonu, parę ły-
żek mocnego rosółu zagotować, przefaso-
wać przez sito. Wrzucić trochę szatkowa-
nych, duszonych w maśle i soku cytryno-
wym pieczarek, oblać zajaca, otoczyć go
wieńcem ryżu, gotowanego na sypko z do-

datkiem cebulki duszonej w maśle i buljo-
nu. Podawać bardzo gorące.

Pasztet z zajacą na zimno. Proporcja:
2 przodki zajęcze, 35 dkg. świeżej słoniny,
2 cebule, 3 dkg. grzybków suszonych, 50
dkg. wieprzowiny od szynki, sól, pieprz,
ziela angielskie, listek bobkowy, 2 czerstwe
bułki obtarte ze skórki, 50 dkg. wątróbki
cielőcej, 4 całe jaja, 2 łyżki buljonu, 2 ły-
żki wina białego. Słonina do wyłożenia
formy.

Wymyte przodki zajęcze osączyć z wo-
dy. Ułożyć na dnie rondla słoninę pokraja-
ną w niewielkie kawałki, zostawiając jej
10 dkg. Wkroić cebulę, wrzucić grzybki su-
szone i ziola. Na tem podłożu ułożyć przod-
ki zajęcze i wieprzowinę, krajaną w dużą
kostkę. Podlać rosołem, dając go tyle, aby
było równo z mięsem. Posolić do smaku,
dusić na wolnym ogniu pod przykryciem,
dopóki mięso całkowicie nie odстане od
kości. Wtedy połamać dwie bułki (obtarte
ze skórki) na nieduże kawałki, włożyć do
rondla i dusić jeszcze chwilę, żeby się bułki
doskonale rozmoczyły.

Przestudzone mięso wyjąć z rondla, obrać
starannie z kości, odrzucić pieprz, ziela i
listki bobkowe, przepuścić trzykrotnie
przez maszynkę od mięsa. Oddzielnie udusić
wątróbkę cielőcą, z pozostawionymi 10 dkg.
słoniny i dużą cebulę krajaną w plasterki.
Wątróbkę moczyć kilka godzin w mleku,
obciągnąć z wierzchniej błony, wyżyłować
pokrajać na niewielkie kawałki. Dusić naj-
wyżej 20 minut, nie soląc. Zemleć na ma-
szynce, dołączyć do mięsnego farszu.

Farsz przeznaczony na pasztet prze-
fasować przez sito (można uniknąć tej uciąż-
liwej roboty, zakładając na maszynkę
specjalne sitko do pasztetu), doprawić: so-
lą, odrobiną białego pieprzu, buljonem i wi-
nem. Wbić 4 całe jaja, wyrobić doskonale.

Rondel, albo podłużną formę wyłożyć
zręcznie krajaniem, cienkimi plasterami
słoniny, ułożyć w formie farsz, ugniatając
go tak, aby przylegał do rondla zupełnie
szczelnie. Ugniść mocno, wyrównać po-
wierzchnię, piec w średnim piecu godzinę,
albo gotować półtorej godziny na parze.
Z formy wyjmować po zupełnem wystu-
dzeniu, ogrzewając lekko rondel nad pło-
mieniem gazowym.

Pasztet na gorąco z sosem maderowym.
Przyrządzić farsz, jak wyżej, doprawić go,
dodać jaja, przefasować.

Zagnieść kruche ciasto z 30 dkg. mąki
pszennej, 15 dkg. masła, 4 żółtek surowych,
dodając trochę soli. Ciasto rozwałkować na
pół palca grubo, wylepić nim niezbyt wy-
soki rondel, włożyć farsz, wstawić do go-
rącego pieca, w którym trzymać tak długo,
aż się ciasto od spodu lekko zrumieni i u-
piecze. Piec na dolnej kondygnacji.

Pasztet po upieczeniu wyjąć na okrągły
półmisek, odpowiedni wielkością do roz-
miarów pasztetu. Uważać, aby nie uszkodzić
delikatnego ciasta. Oddzielnie podać w
sosjerce rumiany sos z pieczarkami, dopra-
wiając go maderą. Pasztet na gorąco za-
piekany w kruchem cieście jest daniem
wykwintnem, odpowiedniem do podawania
na najwystawniejszych przyjęciach.

Melba.

MEBLE gwarantować może tylko własna wytwórnia

Stołowy 14 sztuk 430. Sypialnia 10 sztuk 440. Gabinety 460. Salony mahoń 10 sztuk 220. Złoczone orzechowy, fotele futurystyczne, tapczany higieniczne 85. Otomany 120. Stoły rozsuwane 50. Krzesła wyściełane 15, oraz najróżnorodniejsze sztuki.

OLKOWSKI Nowy Świat 12, tel. 9-10-93
= Firma chrześcijańska =

OGŁOSZENIA DROBNE

Dr Michałek-Grodzki

Chirurg - Plastyk

OPERACJE KOSMETYCZNE

Warszawa, Żłota 3.



PIERWSZA LECZNICA

Kosmetyczna i Chorób Włosów

Dr med. M. Biernackiej i Dyr. I. Kisielewskiej

Warszawa, Szopena 16.

Czy znajdzie się osoba, która pomoże urzędnikowi finansowo do wybrnięcia z sytuacji bez wyjścia? Zabezpieczenie dwóch ustalonych kolegów zapewnione! Spłata byłaby uskuteczniwana miesięcznie przez płatnika po 50 złotych. Zgłoszenia do Administracji „Bluszezu” Dla sytuacji bez wyjścia.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Pani Melanji w Krośnie: Rozjaśni Pani włosy płynem Hella. Płyn Hella działa szybko i niezawodnie, nadaje włosom ładny, złoto-blond kolor. W zimie włosów nie myć wodą lecz suchym szamponem Florentin. Wstrzępuje się we włosy trochę proszku Florentin, a następnie wyczesuje gęstym grzebieniem, lub szczotką. Włosy po takim oczyszczeniu są miękkie, puszyste lśniące i czyste.

Z. Pabjanice: Lepszego kremu i pudru do twarzy nad Abarid niema. Krem Abaridowy, przygotowany na miodzie i wyciągu z lilii białej, doskonale odżywia i uzupełnia tkankę, zapobiega tworzeniu się zmarszczek i przy dłuższym użyciu wygładza zmarszczki już istniejące. Na noc wymyć twarz Otrąbkami Abarid w ciepłej wodzie, następnie wetrzeć cokolwiek Kremu Abarid i przypudrować tymże pudrem.

Marylce i Janeczce: Płyn Mimosa jest nieoceniony do zmywania twarzy w drodze, w podróży, lub po zmęczeniu, gdyż momentalnie odświeża i oczyszcza twarz, nadając jej świeży, młodzieńczy wygląd. Twarz wycierana choćby raz dziennie wschodnim płynem Mimosa, zawsze będzie czysta, gładka, bez plam i pryszczy. Szczególniej zaleca się przy cerze tłustej, dla usunięcia wągrów, czarnych punkcików i błyszczącej cery w okolicach nosa. Puder wtedy stosować tylko Abaridowy.

Stalej: Pod puder polecam Pani płynny gold-crem Abaridowy, który ma tę wyższość nad kremami, że nie zatyka porów skóry, i nie tamuje transpiracji. Można go stosować również zamiast mycia twarzy wodą, wycierając watą zmoczoną w płynnym Goldcremie Abaridowym. Do rąk lepszego środka nad Krem Pralatom niema. Nadaje on rąkom delikatność i białosć. M-me Ercedes

W dniu 20 września 1934 r. ukazało się rozporządzenie, mocą którego poczta wprowadziła

NOWY, BEZPŁATNY DLA WYSYŁAJĄCYCH, SPOSÓB PRZESYŁANIA PIENIĘDZY DO AD- MINISTRACJI DZIENNIKÓW I CZASOPISM.

Na mocy tego rozporządzenia przysyłać można pod adresem administracji dzienników i czasopism należności za prenumeratę i wszelkie inne należności (za drobne ogłoszenia, za pojedyncze egzemplarze i t. p.) nieprzekraczające kwoty 15 zł.

SPECJALNEMI PRZEKAZAMI ROZRACHUNKOWEMI.

Od sum przesyłanych wydawnictwom przy pomocy przekazów rozrachunkowych

WYSYŁAJĄCY PIENIĄDZE NIE PONOSZĄ ŻADNYCH OPŁAT.

Przekazy rozrachunkowe (kolor błękitny) są do nabycia w cenie 1 gr. za sztukę we wszystkich urzędach pocztowych.

Od 1.XII.34 = 1.I.35 r.

Dwutygodnik „JA TO ZROBIĘ”

urządza w lokalu własnym ul. Świętokrzyska 17 m. 3

„WYSTAWĘ = KIERMASZ”

p. t.

JAK I Z CZEGO JA TO ZROBIĘ”

Celem wystawy będzie w jej części pierwszej pokazanie najnowszych, polskich surowców — materiałów w dziedzinie tkanin, nici, włóczek, metali, skóry, pergaminów na abażury, rafji, drzewa, paciorków i wszelkich pomocy technicznych, oraz szeregu artystycznych przedmiotów wykonanych z wyżej wymienionych surowców. ∴ ∴ ∴ ∴

Część druga wystawy obejmie bogaty dział wszelkich najmodniejszych robót ręcznych, przeznaczonych do sprzedaży gwiazdkowej. ∴ ∴ ∴

Wszystkie Panie, interesujące się rękodzielnictwem, prosimy o zapamiętanie daty trwania naszej

„WYSTAWY = KIERMASZU”

od 1 grudnia 1934 r. do 1 stycznia 1935 r.

dla prenumeratorek pisma „Ja to zrobię” wejście bezpłatne.

ŚWIAT I ŻYCIE

ZARYS ENCYKLOPEDYCZNY WSPÓŁCZESNEJ WIEDZY I KULTURY

Opracowany przy współudziale najwybitniejszych uczonych i specjalistów polskich

Redaktor naczelny Dr ZYGMUNT ŁEMPICKI, prof. Uniw. Warsz.

Redakcja: Dr ANNA CHOROWICZOWA

Najważniejsze problemy życia współczesnego

polityczne, społeczne, gospodarcze

Najgłówniejsze wyniki wiedzy i nauki

przyroda i technika

Najżywotniejsze prądy duchowe chwili bieżącej

w filozofii, sztuce i literaturze

Najwybitniejsi przedstawiciele pióra

i życia umysłowego w Polsce

Najistotniejsze zagadnienia kultury powojennej

w przystępnym oświeleniu

z a w i e r a

Tom I—IV wydawnictwa

Zwięzłe informacje i krótkie wiadomości poda

Tom V wydawnictwa

Ilustracje — Plansze — Rysunki

Dotychczas ukazały się, między innymi, następujące artykuły: Ambasador, Ameryka, Antarktyda, Artyle-
rja, Archeologia, Atelier filmowe, Atom, Bakterie, Banki, Barwniki, Beton, Biblja, Biegi, Bolszewizm, Budżet,
Chemja ustrojów żywych, Celowość, Chłop, Chrześcijaństwo, Darwinizm, Demokracja, Drukarstwo, Drzewo
i przemysł drzewny, Dyktatura, Dziennikarz, Elektron, Estetyka, Etyka, Faszyzm, Fizjologia, Fotoelektrycz-
ność, Futerkowe zwierzęta, Giełda, Gleba, Górnictwo, Gruczoły, Handel, Hormony, Indje, Izotopy.

Dotychczas pisali na łamach encyklopedji między innymi: Prof. dr. K. Ajdukiewicz, Prof. dr. S. Baley, Prof.
dr. Fr. Bujak, Prof. dr. J. Czekanowski, Doc. dr. M. Hartleb, Prof. dr. K. Kączkowski, Prof. dr. ks. A. Klawek,
Prof. dr. B. Koskowski, Prof. dr. T. Marchlewski, Min. J. Matuszewski, Dr. J. Muszkowski, Prof. dr. K. Nitsch,
J. Parandowski, Prof. dr. St. Pawłowski, Prof. dr. St. Poniatowski, R. Przeździecki, Prof. dr. E. Rommer, Prof.
dr. ks. F. Rosłaniec, Prof. dr. E. Rybka, Prof. dr. S. Schayer, Prof. dr. T. Sinko, Doc. dr. P. Słonimski, Prof. dr.
L. Wertenstein, Min. August Zaleski, Dr. T. Żeleński-Boy.

Warunki prenumeraty:

Miesięcznie (1 zeszyt) zł 4.80, półrocznie (5 zeszytów)
zł 23.30, rocznie (10 zeszytów 1 tom) zł 45.15, 1 tom
oprawny 10 zeszytów) zł 51.15.

Nakład Instytutu Wydawniczego
S. A. KSIĄŻNICA ATLAS

Ł w ó w, Czarnieckiego 12. Warszawa, Nowy Świat 59.

P T.

KSIĄŻNICA ATLAS S. A.

Warszawa, Nowy Świat 59

Proszę nadesłać bezpłatny prospekt encyklope-
dji Świat i Życie.

Imię i nazwisko

Dokładny adres